

KATOLICKI TYGODNIK „Rodzina”

NR 52 (338) ROK VII

WARSZAWA 25. XII. 1966

CENA 2 ZŁ

Wesołych
Świąt

Wesołych
Świąt

Wesołych
Świąt



LEKCJA

Z Listu św. Pawła Apostoła do Tytusa
(2, 11—15)

Najmilsi: Okazała się wszystkim ludziom taska Boga, Zbawiciela naszego, i poucza nas, abyśmy wyrzekłszy się bezbożności i żądz światowych, rozsądnie, sprawiedliwie i pobożnie żyli na tym świecie, oczekując błogosławionej nadziei i przyjścia chwały wielkiego Boga i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa. Wydał On samego siebie za nas, aby nas wykupił od wszelkiej nieprawości i przygotował sobie na własność lud czysty, dobrych uczynków strzegący. To mów i napominaj w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.

EWANGELIA

Według św. Łukasza (2, 1—14)

Onego czasu wydany został dekret przez cesarza Augusta, aby spisano wszystkie świat. Pierwszy ten spis odbył się, gdy Cynryn był wielkorsządką Syrii. Szli tedy wszyscy do spisu, każdy do miasta swego. Poszedł też i Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, jako że był z domu i pokolenia Dawidowego, aby zostać wpisanym wraz z Maryją, zaślubioną swą małżonką, brzemienną. I stało się, gdy tam byli, że wypełniły się dni, aby porodziła. I porodziła syna swego pierwotnego, i owinęła go w pieluszki i złożyła w żłobie: nie było bowiem dla nich miejsca w gospodzie. I byli w tej krainie pasterze, czuwający i odbywający nocne straże nad stadem swoim. A oto Anioł Pański stanął przy nich i jasność Boża zewsząd ich oświeciła, tak że złąkli się bojaźnią wielką. I rzekł im Anioł: Nie lękajcie się, oto bowiem zwiastuję wam radość wielką, która będzie wszystkim ludowi, że się wam dziś narodził Zbawiciel, którym jest Chrystus Pan, w mieście Dawidowym. A to będzie dla was znakiem: Najdziecie niemowlę owinięte w pieluszki i złożone w żłobie. I nagle zjawily się z Aniołem zastępy wojska niebieskiego, wielbiące Boga i mówiące: Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

Chrystus nie urodził się kiedyś tam w zamierzchłej, bliżej nam nieznannej przeszłości, ale żył, działał i nauczał w okresie rozkwitu kultury i nauk, za rządów cesarza Augusta i Tyberiusza. Znały Go i oglądały nie tylko tysiące Jego ziomek, lecz także Grecy, Rzymianie i wielu innych, działał bowiem w kraju, który na kształt pomostu łączył ze sobą trzy wielkie kontynenty. Ta okoliczność pozwalałaby się domyślać, że historyczne wzmianki o Chrystusie pozostawione przez współczesnych Mu będą liczne i ciekawe. Tymczasem stało się inaczej. Owszem, wzmianki takie istnieją, są jednak skąpe i nie zawsze bezpośrednio. Wielu zadziwia taki stan rzeczy i pyta: jak się to stało, że o tak wielkim człowieku tak mało zapisów i świadectw? Sprawa jest wszakże całkiem prosta: kłóć się chce zajmować losami podbitego narodu, a takim był przecież naród żydowski, kogo interesują jego bohaterowie, a za takiego był przecież uważany przez pogan Jezus Chrystus — i wreszcie, co wielkiego zdołał w skali ogólnoświatowej Chrystus jako człowiek? Czy w niedalekiej przeszłości okupant zajmował się naszymi rodzimymi bohaterami, z wyjątkiem spraw związanych z jego taktyką i bezpieczeństwem? Co po wielu bohaterach polskich zostało oprócz akt okupacyjnej policji śledczej? Nic. Dlatego nic, ponieważ byli to ludzie obcy i wrodoży okupantowi tak jak Jezus był obcy Rzymowi, nic, ponieważ byli bohaterami podbitego narodu jak Chrystus, nic, ponieważ naród, który reprezentowali — był narodem małym jak naród Chrystusa, liczącym za Jego życia zaledwie 2 miliony głów.

Jednak coś z tych świadectw, dokumentów i zapisków pozostało. Wprawdzie archiwa imperium rzymskiego spłonęły i zniszczyły pod wpływem kataklizmów dziejowych, niemniej jednak możemy przypuszczać, że jeżeli już nie metryka urodzenia to przynajmniej metryka zgonu Chrystusa mogła się w aktach cesarskich znajdować, gdyż według filozofa Justyna, żyjącego w drugim wieku po Chr. istniały akta Piłata przesłane przez tego prokuratora cesarzowi Tyberiuszowi. Również Tertulian czyni wzmiankę, jakoby proces Chrystusa był dokładnie przez Piłata cesarzowi zreferowany.

Istniał historyk znany ze swej solidności naukowej, umiaru i wysokiej klasy krytycyzmu. Urodził się w r. 55 po Chr. Był Rzymianinem i nazywał się Tacyt. W r. 114/115 zakończył pisanie Annałów, czyli Roczników, w których opisał także panowanie współczesnych Chrystusowi cesarzy Augusta i Tyberiusza — niestety te właśnie partie Annałów zaginęły. Pozostały natomiast opowiadania o Neronie, gdzie nie brak również stwierdzenia, że liczni chrześcijanie padli ofiarą nieobliczalnego władcy, który podpalił stolicę. Ludzie ci wywodzą się od Chrystusa, który za panowania Tyberiusza został skazany na śmierć przez prokuratora Judei Ponckiego Piłata — pisze Tacyt.

W latach 65—135 żyje inny historyk rzymski Swetoniusz, który, opisując panowanie cesarza Klaudiusza (41—54), powiada, że cesarz ten wygnał z Rzymu Żydów, którzy powodowali zamieszki w mieście z poduszczania Chrestosa (por. Dz. Ap. 18, 2—3).

Najważniejszym jednak pisarzem, świadczącym o historycznym istnieniu Chrystusa jest uczone żydowski Josf ben Matjahu, zwany pospolicie Flawiuszem. Był on kapłanem, uczone, dowódcą wojskowym i dyplomata w jednej osobie. Jego wiekopomne dzieło „Starożytności” zawiera dwa świadectwa, z których jedno brzmi następująco: „w owym czasie (tj. w okresie gdy rządził Piłat) żył Jezus, mąż doskonały, jeśli go w ogóle za człowieka uważać. Był bowiem sprawcą trudnych do uwierzenia czynów, był nauczycielem tych, którzy z radością przyjmują rzeczy prawdziwe. Pociągnął do siebie wielu Żydów i Greków. Gdy go tedy z oskarżenia naszych przełożonych Piłat na śmierć krzyżową skazał, ci którzy go przedtem miłowali nie opuścili go i aż do naszych czasów przetrwało

plemię chrześcijan, którzy takim imieniem od niego są nazwani”. W drugim miejscu wspomina Flawiusz o powołaniu przed Synedrium przez arcykapłana Annasza „brata Jezusa rzekomego Chrystusa imieniem Jakuba”. Oczywiście, nie chodzi tu o brata w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz po prostu o krewnego.

Powyższe dokumenty i wypowiedzi mówią, że Jezus Chrystus żył i działał rzeczywiście w Judei, że był twórcą jakiegoś ruchu, że Piłat kazał go ukrzyżować, a zwolenników jego prześladowano.

Nawet Talmud świadczy, że Chrystus przebywał w Nazarecie, czynił cuda, oraz miał zatargi z uczonymi na tle wyjaśniania Zakonu, co doprowadziło w rezultacie do ukrzyżowania w przeddzień Paschy, która wtedy przypadała w szabat. Dopiero późniejsze części Talmudu, pochodzące z końca II w. zawierają wiele oszczerstw i kpín wysmiewających cudowne narodzenie i życie Jezusa, co jest całkiem zrozumiałe, gdy się uwzględni wciąż narastającą niechęć Żydów wobec rozwijającego się chrześcijaństwa. Nigdzie jednak nie spotykamy w Talmudzie, nawet w tych częściach, gdzie są kpiny z Jezusa, jakoby Jezus miał nie istnieć w ogóle. A można by słusznie się spodziewać, że gdyby znalazły się w tym kierunku jakiegokolwiek nawet przypuszczenia, na pewno by z nich jak najszybciej skorzystano w celu skuteczniejszego zwalczania chrześcijaństwa.

To samo można by twierdzić o innych wrogach chrześcijaństwa, jak Celsus i Porfiriusz, którzy chcąc ratować upadające pogaństwo użyli całego swego talentu, by wykpić opowiadania zawarte w Ewangeliach, nigdzie natomiast nie podnieśli zarzutu przeciwko historycznemu istnieniu Chrystusa. Dopiero w XVIII w., w okresie rewolucji francuskiej, gdy powstał kierunek zdecydowanej opozycji przeciw chrześcijaństwu, zaczęto wysuwać teorie i teoryjki mające za cel i zadanie obdrzeć Chrystusa z bóstwa, bądź nawet podważyć Jego historyczne narodzenie i życie. Wystąpili C. F. Volney, C. F. Dupuis i inni, których tradycje przejęli w w. XX A. Drews, P. L. Couchaud i H. Rumiencw. Wszyscy wyżej wymienieni i plejada ich mniej głośnych epigonów utrzymują:

- 1) że o Chrystusie nie ma świadectw pozachrześcijańskich pochodzących z pierwszego i drugiego wieku,
- 2) że Ewangelie są źródłem niewiarygodnym, pochodzą bowiem — ich zdaniem — z drugiego wieku i zostały napisane przez bezkrytycznych entuzjastów,
- 3) że św. Paweł nic nie mówi o Chrystusie jako postaci historycznej, lecz jako o postaci religijno-mitycznej.

Jak ocenić powyższe twierdzenia, odrzuwane często i przez współczesnych nam ludzi o innych niż nasze poglądach? Na to pytanie odpowiedzieć można łatwo przez postawienie takiego choćby pytania: czy istnieje platonizm, arystotelizm i mahometanizm? Istnieją! A ile jest świadectw historycznych przemawiających za istnieniem Platona, Arystotelesa czy Mahometa? Na pewno mniej niż na potwierdzenie istnienia Chrystusa, a jednak nikt z ludzi kulturalnych nie powątpiewa w istnienie wymienionych filozofów i założyciela islamu. Powtarzane z uporem „Nie” w odniesieniu do istnienia osoby Chrystusa trudno zakwalifikować do rzędu poprawnych i naukowych stanowisk. A przecież obok źródeł świeckich są jeszcze źródła religijne jak Ewangelie, których autorami byli wprawdzie ludzie prości, niemniej jednak obiektywni, nie mający żadnego w tym interesu, aby potomnych wprowadzać w błąd. Można mieć pewne zastrzeżenia co do późniejszej interpretacji pewnych fragmentów ewangelijnych, ale zasadnicza ich treść jest dowodem narodzenia i historycznego istnienia Chrystusa, dowodem historycznej treści Bożego Narodzenia, spychanej do rzędu pobożnej legendy, niedocenianej i zapoznawanej przez samych nawet katolików.

Ks. M. P.

JEDNOŚĆ INDII NADAL KRUCHA

Jest faktem, że hinduska jedność polityczna jest nadal krucha. Uświadomił sobie to jasno rząd centralny, gdy za karygodny objaw buntu uznał ostatnio każde usiłowanie oderwania się od obecnej Indii. Nie przeszkodziło to ekstremistycznemu ugrupowaniu Drawidów DMK w pozostawianiu u władzy w stanie Madras, tuż za górami stanu Kerala, a każdy wie — chociaż nigdy tego nie powiedziano wyraźnie, — że DMK domaga się niezależności dla narodu Drawidów w Indii południowej. Tego rodzaju ruchy wyrażają ostro skrytą niechęć południowców dla centralistycznych planów państwowej administracji w Delhi. Nie zapomniano niezręcznego projektu zmarłego premiera Shastri mającego na celu wprowadzenie języka hindu jako jedynego języka urzędowego. Jeszcze teraz widoczne są na murach w Trivandrum i Cochin slogany: „Precz z hindu!” — „Niech żyje język angielski!” To dyrektor szkoły w Ernakulum pierwszy użył określenia później często powtarzanego: „Imperializm języka hindu”.



Dla większości Hindusów — poza Delhi, Bombajem i Kalkutą — problemy międzynarodowe względnie nawet narodowe są nadal mniej ważne niż sprawy lokalne, ale w wielu stronach Indii najważniejszą sprawą jest wyżywienie. Zanim wyjechałem z Delhi na południe, redaktor „Indian Express”, Frank Moraes, jeden z najbystrzejszych dziennikarzy tego kraju, powiedział mi znacząco: „Niech pan nie sądzi, że jest to kwestia braku żywności. Znajdzie pan inne ukryte powody”.

Przekonałem się, że miał rację. I tak najpierw — przynajmniej od kilku ostatnich pokoleń — stały brak żywności dla dziesiątek milionów Hindusów wynika nie z niewystarczającej podaży, lecz z braku siły nabywczej. Trzecia część ludności przeludnionego stanu Kerala (mającego gęstość zaludnienia 1.200 osób na 1 milę kwadratową) jest wiecznie albo bezrobotna, albo niedostatecznie zatrudniona i ci ludzie stale są niedożywieni, co wymaga radykalniejszych środków niż doraźna jałmużna. Tego samego domagają się inne regiony Indii, a zwłaszcza te, które ostatnio były w krytycznej sytuacji, jak Rajasthan i Orissa. Znamienne, że jeden z ostatnich raportów stanu Orissa obarczał winą za głodowe warunki nie tyle niewystarczające zbiory zbóż, ile raczej fakt wyrzucenia wielu

robotników z pracy i pozostawienia ich bez pieniędzy, za które można kupić żywność.

Oczywiście nie mam zamiaru zaprzeczać, że ogólnie pogorszyła się w Indii sytuacja żywnościowa częściowo z braku właściwych metod gospodarowania, częściowo z powodu niewielkiego wzrostu powierzchni uprawnej nienadającego za wzrostem zaludnienia. Ponadto w ostatnich kilku latach w wielu częściach Indii deszcze nie padają wcale lub prawie wcale. Zbożem najbardziej upośledzonym tymi warunkami jest ryż wymagający dużo wody do uprawy i dlatego rejon, które zazwyczaj mają nadmiar ryżu, jak Mysore i Andhra, nie mogą dostarczać go do regionów niedożywionych jak Kerala. Niedawno wprowadzono racjonowanie ryżu, a w stanie Kerala ilość na osobę dziennie gwałtownie spadła do czterech uncji. Inne artykuły mączne są dostępne, zwłaszcza tapioka i nastąpiły duże dostawy ziarna czy mąki pszennej. Lecz — na południu Indii podobnie jak w innych krajach azjatyckich — jedzenie ryżu posiada pewną wagę społeczną. Tapiokę i proso uważa się za pożywienie biedoty i ludzi z niskiej kasty. Pszenicę uważa się za pożywienie obce, przypominające Hindusów z północy; w jednym z miast Kerali spotkałem miejscowego funkcjonariusza i jego pomocników prowadzących bez powodzenia kampanię w celu zachęcenia ludzi do kupowania mąki pszennej, której wielkie ilości leżały nie sprzedane w magazynach i to po cenie więcej niż połowę niższej niż cena ryżu. Gdy więc wybuchły głodowe demonstracje, nie wołano „My chcemy jeść!” lecz — „Chcemy ryżu!”.

W tej sytuacji komuniści zaoferowali najwyższą porcję, bo 12 uncji na osobę dziennie... 12 uncji dziennie dla rodziny złożonej z czterech osób (w stanie Kerala to raczej ilość mała) wynosi około półtora kilograma, co według obowiązujących cen może kosztować raczej więcej niż 2 rupie (45 centów); większość robotników Kerali zarabia dziennie 2 rupie lub mniej dla całej rodziny, aby zaspokoić wszystkie jej potrzeby...

Zatem hinduski problem wyżywienia jest nie tylko wielki, ale i skomplikowany. Zawiera w sobie nie tylko potrzebę importowania żywności w ciągu najbliższych kilku lat, lecz również daleko szerszy program unowocześnienia metod uprawy roli, zwiększenia nawodnienia i lepszego przechowywania wody niż to było dotychczas. Wymaga też specjalnego wychowania Hindusów, aby nie byli tak konserwatywni w swoich przyzwyczajeniach żywnościowych. Lecz tego rodzaju środki usuną jedynie jaskrawe objawy braku żywności. Celem zlikwidowania chronicznego braku trzymającego wielu ludzi na skraju śmierci z powodu braku pieniędzy, musi się podjąć bardziej skutecznie niż dotychczas rewolucyjny wysiłek podniesienia poziomu realnych dochodów dla połowy przynajmniej ludności Indii. Względnie powolny postęp we wszystkich tych dziedzinach podczas 19 lat wolności nie usprawiedliwia optymistycznych nadziei na gwałtowny sukces. Żaden kraj nie może bez końca żyć rozwiązaniami doraźnymi takich problemów bez narażania się na konflikty społeczne, które mogą mieć przerażające konsekwencje jeśli się weźmie pod uwagę gwałtowne reakcje, do jakich zdolni są czasem Hindusi — normalnie bierni.

Tłum. S. W.

*) Autor jest angielskim pisarzem, znawcą problemów azjatyckich. Ostatnio wydał książkę pt. „Azja, bogowie i miasta”. Publikowany artykuł jest fragmentem obszerniej wypowiedzi pt. „Rupees and Rice” (Rupie i ryż), wydrukowanej w „Commonweal” Volume 84 nr 15.

POKÓJ LUDZIOM...

W tradycji ludów chrześcijańskich święta Bożego Narodzenia noszą charakter świąt miłości i pokoju. W liturgiach i w zwyczajach tego dnia niby refren przewija się życzenie: Pokój ludziom dobrej woli... Jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, oczywistą, że zarówno chrześcijanin jak i człowiek stojący poza chrześcijaństwem życzenie to traktuje serio. Życząc pokoju pragnie, aby życzenie to zostało zrealizowane już w najbliższym czasie na całej kuli ziemskiej.

Chrześcijaństwo, jak wszyscy ludzie dobrej woli, pragną pokoju. Świadczą o tym takie fakty jak ogłoszenie encykliki papieskiej „Pacem in terris”, jak liczne apele i wystąpienia Chrześcijańskiej Rady Pokoju i Światowej Rady Ekumenicznej, występujących w imieniu całego szeregu zrzeszonych Kościołów chrześcijańskich. Czyż zresztą trzeba dowodzić, że chrześcijanie pragną pokoju? Jest to przecież podstawowy wniosek wypływający z ich nauki. Podstawowa prawda, którą głoszą i której bronią. Zasadniczy postulat zarówno życia doczesnego, jak i życia pozagrobowego.

I rozumieją wszyscy, jakim błogosławieństwem dla ludzkości jest pokój i jakim brzemieniem w tragiczne następstwa katalizmem jest wojna. Z jednej strony perspektywa pracy owocnej, rozkwit rolnictwa, przemysłu, nauki, oświaty, roześmiana młodość i spokojna starość, miłość szczęśliwa, z drugiej strony — perspektywa okrutnej śmierci, kalectwa, płacz sierot, jęk wdów, przekleństwa konających, człowiek wyniszczony, zdeptany, prześladowany, kryjący się przed bliźnim, człowiek zgoniony jak szarak, pustka w polu i w komorze, głód szczerzący zęby, gwałty, zadawania i wołanie o litość.

I rozumieją wszyscy, że pokój jest niepodzielny, jak niepodzielny jest mały nasz świat. Jeszcze przed stu laty można było marzyć, że wojna szaleć może na wszystkich kontynentach świata i nie dotknąć naszego miasta czy naszej wsi. Że wojna może być zlokalizowana do jednego kraju, do jednego kontynentu. Szaleńcem jest — kto dziś jeszcze snuje i wierzy w takie marzenia. Nie ma dziś dalekich kontynentów, nie ma rozległych przestrzeni, nie ma nieosiągalnych celów. Za naściśnięciem guzika rakietą w każdej chwili może osiągnąć każdy cel w powietrzu i na ziemi. Skończył się czas wojen lokalnych. Dziś, gdy wybucha wojna lokalna, nikt nie może zagwarantować, że w pewnym momencie nie przekształci się ona w wojnę powszechną. Najmniejszy lokalny konflikt może wywołać nieobliczalne następstwa.

Kto więc ma odwagę prowokować dziś wojnę? Chyba szaleńców? Ale dla szaleńców są szpitale. Przeszłycy? Dla przestępców są więzienia.

A kto z chrześcijan ma odwagę usprawiedliwiać wojnę z punktu widzenia zasad moralnych? Prawo międzynarodowe potępia każdą agresję w sposób zdecydowany bez żadnych zastrzeżeń. Tak też czynią chrześcijanie. Niestety, w teorii tylko. Świadczy o tym wojna w Wietnamie. Świadczy list pewnego episkopatu, który stwierdza (cyfrowo?) „Nasza obecność w Wietnamie jest uzasadniona...”

Jak niełatwo jest wyluskać prawdę z plew frazesów. A może inaczej: jak łatwo umysł ludzki daje się opętać pozorom prawdy, a odrzuca prawdę wtedy, kiedy prawda ta jest przykra, niewygodna, krępująca. Ktoś powiedział, że gdyby uznanie prawdy, iż dwa razy dwa równa się cztery, wymagało ofiary ze strony człowieka, wielu byłoby takich, którzy by prawdy tej uznać nie chcieli. A jednak prawda jest prawdą, czy się komu podoba czy nie. I prawdą jest, że pokój jest błogosławieństwem dla świata. Największym dobrem. I nikt nie może uzasadnić prawa zręczności bomb na cudze osiedla, najazdu cudzego kraju.

A więc jednak — pokój ludziom...

(Kumat.)

WIDZENIE CESARZA

Działo się to w czasie, gdy August był cesarzem w Rzymie, a Herod królem w Jerozolimie.

I oto pewnego razu wielka i święta noc zapadła nad ziemią. Była to najciemniejsza noc, jaką kiedykolwiek dotąd widziano; zdawało się, że cała ziemia dostała się pod sklepienie lochu. Nie sposób było odróżnić wodę od ładu, groziło zablądzenie na najlepiej znanej drodze. Nie mogło być inaczej, skoro z nieba nie szedł nawet promyk światła. Wszystkie gwiazdy zostały w domu, a przyjazny księżyc odwrócił swoją twarz.

Równie głębokie jak ciemność były milczenie i cisza. Rzeki stały w biegu, nie poruszał się wiatr, nawet liście osiki przestały drzeć. Jeśli się poszło ku morzu, można było zobaczyć, że fala nie uderza już o brzeg, a na pustyni piasek nawet nie chrząścił pod stopami. Wszystko skamieniało i trwało w bezruchu, by nie zakłócać świętej nocy. Trawa nie odważała się rósć, rosa padać, a kwiaty nie ośmielały się wydzielać słodkiej woni.

Tej nocy nie polowały drapieżne zwierzęta, węże nie kąsały, nie czekały psy. A co było jeszcze wspanialsze: żadna rzecz martwa nie chciała zakłócić świętości tej nocy dając się użyć w złym celu. Żaden wytrych nie byłby otworzył zamku, żaden nóż nie był w stanie utoczyć krwi.

Tej właśnie nocy w Rzymie niewielka grupa ludzi wyszła z mieszkania cesarza na Palatynie i udała się przez Forum w górę na Kapitol. Poprzedniego dnia zapytali senatorowie cesarza, czy ma coś przeciw temu, aby wnieśli dla niego świątynię na świętej górze Rzymu. Ale August nie od razu dał swoje przyzwolenie. Nie wiedział, czy bogowie mile by to przyjęli, że on miałby świątynię u boku ich świątyń, odpowiedział więc, że wprawdzie chciałby przez nocną ofiarę wy badać wolę nieśmiertelnych w tej sprawie. To on właśnie w towarzystwie kilku zaufanych szedł, aby dopełnić tej ofiary.

Augusta niesiono w lektyce, ponieważ był już stary i męczyły go wysokie schody Kapitolu. Sam trzymał kłatkę z gołębiami, które miał złożyć w ofierze. W jego orszaku nie było ani kapłanów, ani żołnierzy, ani senatorów, jedynie najbliżsi przyjaciele. Przed nim niesiono pochodnie, jakby torując drogę w ciemnościach nocy, a za nim szli niewolnicy niosąc trójnogi ołtarz, węgiel, noże, święty ogień i wszystko, co jest potrzebne do złożenia ofiary.

Podczas drogi cesarz rozmawiał żywo ze swoimi zaufanymi i dlatego nikt z nich nie zwrócił uwagi na nieskończone milczenie i ciszę nocy. Dopiero kiedy doszli do pustego placu na najwyższej części Kapitolu, który był przeznaczony pod nową świątynię, stało się dla nich jasne, że zanosi się na coś niezwykłego.

Nie mogła to być noc, jak wszystkie inne, gdyż w górze na krawędzi skały zobaczyli jakieś bardzo dziwne stworzenie. Sądziли najpierw, że to jest stary powykęcany pień drzewa oliwnego, potem, że to prastary posąg z świątyni Jowisza wywędrował na skałę, w końcu okazało się, że to nie może być nic innego jak stara Sybilla.

Czegoś tak starego, tak spalonego wiatrem i tak olbrzymiego nie widzieli nigdy. Ta stara kobieta była przerażająca. Gdyby nie było cesarza, uciekliby wszyscy do domów, do swoich łóżek.

— To ona — szeptali jedni do drugich — ona, która ma tyle lat, że ziarn piasku na jej oczymostym wybrzeżu. Dlaczego wyszła ze swej kryjówki właśnie tej nocy? Co zwiastuje cesarzowi i państwu, ona, która pisze swe przepowiednie na liściach drzew i wie, że wiatr zaniesie słowa wyroczni do tego, komu jest przeznaczona?

Byli tak przerażeni, że gdyby Sybilla zrobiła bodaj jeden ruch, rzuciliby się wszyscy na kolana z czołem ku ziemi. Ale ona siedziała tak nieporuszona, jakby była bez życia. Przykucnięta na najwyższej krawędzi skały, przysłaniając ręką oczy wpatrywała się w ciemność nocy. Siedziała tam, jakby wyszła na wzgórze, aby lepiej zobaczyć coś, co zdarzyło się hen, daleko. Że też ona mogła coś widzieć wśród takiej nocy!

W tej samej chwili cesarz i jego orszak zauważyli, jak głęboka panowała ciemność. Nikt z nich nie mógł widzieć nic przed sobą na długość ramienia. I jaki spokój, jaka cisza! Ani razu nie usłyszeli nawet głuchego pomroku Tybru. Lecz powietrze chciało ich zadusić, zimny pot oblewał im czoła, a ręce były sztywne i bezsilne. Czuli, że stanie się nagle coś strasznego.

Nikt jednak nie chciał pokazać po sobie, że się boi, wszyscy mówili do cesarza, że to dobry omen: cała natura wstrzymała oddech, żeby pozdrowić nowego boga.

Wzywali cesarza Augusta, aby się spieszył z ofiarą, mówili, że stara Sybilla wyszła ze swej nory z pewnością po to, aby się pokłonić bóstwu opiekunemu cesarza.

Ale naprawdę to stara Sybilla tak była zajęta jakimś widzeniem, że nie wiedziała w ogóle o przybyciu Augusta na Kapitol. Przeniosła się duchem w daleki kraj i tam zdawało jej się, że wędruje przez wielką równinę. W ciemności potykała się ciągle o coś jakby kępy trawy. Schyliła się i macała rękami. Nie, to nie były kępy, lecz owce. Wędrowała wśród wielkich stad śpiących owiec.

Teraz zwróciła uwagę na jakieś pasterskie ognisko. Palilo się na środku pola, usiłowała dojść do niego. Pasterze spali przy ogniu, u boku mieli długie ostro zakończone laski, którymi zwykle bronili trzody przed dzikimi zwierzętami. Czy jednak te małe zwierzęta z błyszczącymi oczami i włochatymi ogonami, które się skradały do ognia, nie są szakalami? A przecież pasterze nie ciskają w nich

uszczepami, psy śpią dalej i owce nie uciekają, a dzikie zwierzęta kładą się spokojnie do odpoczynku obok ludzi.

To widziała Sybilla, ale nie wiedziała nic o tym, co się działo za nią na szczycie wzgórza. Nie wiedziała, że tam wzniesiono ołtarz, rozżarzone węgle, rozsypano wonne ziola i że cesarz wyjął z klatki jednego gołębia, aby go złożyć w ofierze. Ale ręce miał tak zdrętwiałe, że nie mógł utrzymać ptaka. Jednym uderzeniem skrzydła gołąb uwolnił się i zniknął w górze, w ciemnościach nocy.

Gdy to się stało, dworzanie oglądali się nieufnie na starą Sybillę. Uważali, że to ona wywołała nieszczęście.

Czyż mogli wiedzieć, że Sybilla ciągle jeszcze jakby stała przy pasterskim ognisku, przysłuchując się teraz słabemu dźwiękowi, który drzeniem napępiał śmiertelną cichość nocy. Słyszała go chwilę, zanim zauważyła, że nie pochodził on z ziemi, lecz z nieba. W końcu podniosła głowę i wtedy zobaczyła jasne, świetliste postacie płynące w górze, w ciemności. Były to niewielkie grupy aniołów, którzy śpiewając wdzięcznie i jakby szukając czegoś przelatywali tam i na powrót nad szeroką równiną.

Podczas gdy Sybilla przysłuchiwała się anielskim pniom, cesarz przygotowywał się do złożenia nowej ofiary. Umył ręce, oczyścił ołtarz i wziął drugiego gołębia. Ale choć teraz starał się jak najbardziej, aby go utrzymać, gładkie ciało gołębia wyśliznęło mu się z ręki i ptak wzbił się w górę, w nieprzeniknioną noc.

Przeraził się cesarz. Padł na kolana przed pustym ołtarzem modląc się do swego geniusza. Wołał do niego o siłę do odwrócenia nieszczęść, które zdawała się zapowiadać ta noc.

Tego wszystkiego zupełnie nie słyszała Sybilla. Słuchała całą duszą anielskich pni, które brzmiały coraz donośniej. W końcu stały się tak potężne, że obudziły pasterzy. Podnieśli się i wsparci na łokciach patrzyli na błyszczące gromady srebrzystych aniołów poruszające się tam, w górze, w mroku, niby ptaki przelotne, długim, powiewnym szeregiem. Jedni mieli lutnie i skrzypce w rękach, inni cytry i harfy, a ich śpiew brzmiał tak wesoło jak śmiech dziecka i tak beztrudnie jak trele skowronka. Słyszając to pasterze zerwali się, by iść do miasta, gdzie były ich domy, i by tam opowiadać o cudzie.

Wspinali się wąską, krętą ścieżką, a stara Sybilla szła za nimi. Naraz stało się jasno tam wysoko na szczycie góry. Zapaliła się nad nim wielka jasna gwiazda, a miasto na wierzchołku góry zalśniło w jej świetle jak srebro. Wszystkie błądzące chóry anielskie pospieszyły tam z radosnym okrzykiem, a pasterze przyspieszyli kroku, tak że prawie biegli. Doszedłszy do miasta ujrzeli, że aniołowie zebraли się nad niską stajnią w pobliżu miejskiej bramy. Była to nędzna szopa z dachem ze słomy, a tylną jej ścianę stanowiła goła skała. Nad nią to stała gwiazda i tam gromadziło się coraz więcej i więcej aniołów. Niektórzy siadali na słomianej strzecie albo spuszczali się na strumą skałę za szopą, drudzy na łopocących skrzydłach unosili się ponad nią. Wysoko w górze rozjaśniał powietrze blask anielskich skrzydeł.

W tej samej chwili, w której gwiazda zapaliła się nad górskim miastem, przebudziła się cała natura i ludzie stojący na szczycie Kapitolu nie mogli tego nie zauważyć. Poculi, że w powietrzu powiał rześki, ale pieszczotliwy wiatr, że rozkoszne wonie rozchodzą się dookoła. Zaszumiały drzewa, Tybr rozszemrał, zabłysły gwiazdy, a księżyc wyszedłszy nagle na niebo oświetlił świat. Z obłoku zaś zleciały dwa gołąbki i usiadły na ramionach cesarza.

Gdy się ten cud dokonał, podniósł się cesarz pełen dumy i radości, a jego przyjaciele i niewolnicy padli na kolana.

— Ave Caesar! — zawołali. — Twój geniusz dał ci odpowiedź! Ty jesteś bogiem, którego należy czcić na wyniosłości Kapitolu!

A w zachwyceniu tak donośnie oddawali hołd cesarzowi, że aż dosłyszała to stara Sybilla. Ocknęła się z zadumy, wstała ze swego miejsca na krawędzi skały i weszła między ludzi. Zdało się, że ciemna chmura wyszła z czeluści i opadła na wzgórze. Przerażająca była w swojej starości. Postrzępione włosy zwisały wokół głowy w rzadkich kosmykach, stawy miała zgrubiałe, ciało okrywała pociemniała skóra, twarda jak kora drzewna i pokryta zmarszczkami.

Mimo to posuwała się ku cesarzowi potężna i pełna godności. Jedną ręką chwyciła go za przegub ręki, drugą wskazała hen, na daleki Wschód.

— Patrz! — rozkazała mu, a cesarz wznosił w górę oczy. Otworzyła się przestrzeń przed jego spojrzaniem i wzrok pobiegł na daleki Wschód. Zobaczył lichą stajnię pod strumą, skalną ścianą, a w otwartych drzwiach kłęczących pasterzy. Wewnątrz stajni ujrzął młodą matkę na kolanach przed małym dzieckiem leżącym na podłodze, na snopku słomy.

Palec ogromnej, kościstej Sybilli wskazywał tam właśnie, na to biedne dziecko.

— Ave Caesar! — powiedziała Sybilla szyderezco. — Tam jest Bóg, którego będą czcić na szczycie Kapitolu!

August cofnął się przed nią jak przed obłąkaną.

Ale w Sybillę wstąpiła moc wieszczca. Przymglone oczy zapłonęły, ręce wyciągnęła ku niebu, głos się zmienił, jakby to nie był jej własny; taki miał dźwięk, taką siłę, że dało się go słyszeć po całym świecie. I jakby czytając w górze między gwiazdami wymówiła słowa:

„Odnowiciela świata czcić będą na Kapitolu.

Chrystusa czy Antychrysta, lecz nie ułomnego człowieka”.

To powiedziawszy przeszła między porażonymi od strachu mężami i schodząc powoli w dół wzgórza, zniknęła.

Następnego zaś dnia August zakazał surowo ludowi wznoszenia mu świątyni na Kapitolu. Zbudował tam natomiast świątynię dla nowo narodzonej Bożej Dzieciny i nazwał ją „Ołtarzem nieba” Ara coeli.

W

piśmie katolików francuskich („lewicowych”) ukazał się list grupy księży portugalskich i katolików świeckich do biskupów przebywających na obradach soborowych. Autorzy listu nie otrzymali odpowiedzi.

Sądźmy, że nasi Czytelnicy z pożytkiem przeczytają list mówiący o dramatycznej niekiedy sytuacji Kościoła pod rządami rzeźmowego „katolickiego” dyktatora Salazara.

*

„Dla niektórych, szczególnie zaś dla politycznych kół naszego kraju, list ten będzie miał charakter denuncjacji. Dlatego właśnie — wbrew własnej woli — jesteśmy zmuszeni do zachowania anonimowości. My jednak nadziejemy, że mimo to, list ten ze względu na treść, na zawarty w nim ból i gorzyc zasługuje na uwagę. Jesteśmy częścią Kościoła milczenia, Kościoła biednych i poniżanych. Zwracamy się do tych, którym Pan powierzył klucze królestwa niebieskiego. Duchem braliśmy udział w soborze, pragniemy jego przystosowania do czasów dzisiejszych (aggiornamento)...

Aby zrozumieć to, co się dzieje w Portugalii trzeba pamiętać, że osobnik, który rządzi krajem podczas trzydziestu ostatnich lat ukształtował się politycznie na dziełach Karola Maurrasa i działalności Action Francaise. Stąd zrodził się nacjonalizm jego polityki i pragnienie odnalezienia w przeszłości (która się nigdy nie powtarza) rzekomych cnót Portugalczyków. Stąd pozaszanowanie dla „nietykalnych” tradycji i zasad postępowania, które pragnęłyby się utrzymać za wszelką cenę dla dobra „porządku publicznego”, którego uosobieniem jest jednopartyjny ustrój korporacyjny, kontrolujący policyjnie wszystkich, którzy ośmielają się przeciwstawić jego celom i pragną odwrócić kraj od „wiatrów historii” czyli od współczesnych prądów uniwersalistycznych i demokratycznych.

Ten porządek polityczny mimo niesprawiedliwości, wyzysku i nędzy, pragnie utrzymać się za wszelką cenę, a „tradycyjnej katolickiej religii kraju” przypisuje funkcję zespalenia sumień ludzkich z tym właśnie porządkiem. Hierarchii kościelnej rząd zapewnia ochronę, zabezpiecza wolność kultu i tradycyjnie pojętą katechizację, jak również szeroką działalność apostołską skierowaną jednak wyłącznie do sumień jednostek. Rząd oplaca księży, nauczających w szkołach średnich i w praktyce zmusza uczniów do chodzenia na lekcje religii. Bezustannie rząd podkreśla swój sojusz z Kościołem, specjalnie reklamuje w prasie i telewizji te uroczystości religijne — msze św., procesje, święcenia budynków publicznych, w których uczestniczą przedstawiciele rządu. Podkreśla też „katolicki” charakter swej polityki, głosi, że jest obrońcą cywilizacji chrześcijańskiej, zagrożonej przez „wiatry historii”, kontynuatorem epoki misyjnej i cywilizacyjnej...

Istniejący konkordat, w okresie, w którym był podpisany (1940 r.), był postępowy jeśli chodzi o zasadę rozróżniania dwóch władz: państwowej i religijnej, ale rozróżnienie to oznacza w obecnej praktyce, iż religią, na którą rząd się godzi — jest religia, sprowadzająca się do czysto osobistych przeżyć, związanych wyłącznie z obrzędowością. Tak pojęta religia oznacza tylko osobistą czystość, posłuszeństwo, ofiarę, a rzeczywistość społeczną i polityczną traktuje jako coś nieczystego, co należy pozostawić w rękach państwa. Oto kilka przykładów sytuacji, o której piszemy. Premier rządu portugalskiego po wystosowaniu listu przez 45 katolików (6 księży), z protestem przeciwko torturom stosowanym przez policję polityczną (tortury te niekiedy powodowały śmierć uwięzionych osób), oświadczył w przemówieniu: „Niektórzy katolicy chwalać się tym, że złamali jedność Portugalczyków i z tego tytułu otrzymują pochwały liberałów. Ten wielkiej wagi fakt świadczy nie tylko o zagubieniu się pewnych ludzi, którzy odda-

ją się od narodowego frontu portugalskiego, ale również o zamęcie spokojnych dotychczas sumień. Wystąpienia tych katolików wywierają zasadniczy wpływ na konkordat, a nawet na stosunki między państwem a Kościołem. Nauka Kościoła jest nam znana i dlatego nie wątpimy, iż kompetentne władze kościelne uczynią wszystko, aby nauka Kościoła była respektowana przez tych, którzy dopuścili się uchybień. Gdyby to nie miało miejsca byłoby to dla mnie mającego pewien udział w religijnej pacyfikacji kraju i zapewnieniu wolności Kościołowi w Portugalii czymś niezwykłym bolesnym”.

Tak więc istnienie obecnego reżimu warunkuje pozorny ład religijny przy jednoczesnym tendencyjnym spaczaniu wszystkich wydarzeń religijnych, które z tym ładem pogodzić się nie chcą lub ten ład kwe-

KOŚCIÓŁ POD RZĄDAMI SALAZARA

stionują. Niejednokrotnie przedstawiano Sobór w sposób zniekształcony, podobnie jak i orędzia papieskie. Szczytowym osiągnięciem reżimu pod tym względem był okres dwóch podróży Pawła VI. Przemówienie Pawła VI w ONZ przedstawione było jako nic nie znaczące wydarzenie. Zupełnie przemilczano podróż do Bombaju... Ministerstwo Spraw Zagranicznych Portugalii publicznie zapowiedziało to milczenie, wyjaśniając tendencyjnie podróż papieża jako „podwójnie niesprawiedliwą i bezpodstawną obrazę Portugalii”. Spowodowanie, iż 9 milionów ludzi nie dowiedziało się o wydarzeniu, o którym pisała cała prasa na świecie, świadczy o surowości cenzury w Portugalii. Cenzura państwowa systematycznie okalecza teksty ostatnich społecznych encyklik papieskich, lęka się bowiem konfrontacji ich treści z rzeczywistością portugalską. Dla przykładu można przypomnieć, że jedno z pism, które poświęciło artykuł encyklice „Pacem in terris” (Pokój na ziemi) mogło wydrukować tylko 80 proc. jego tekstu. Cenzura nie dopuszcza, aby episkopat albo

jakakolwiek grupa społeczna wypowiadała się w tak zasadniczych sprawach jak nieludzkie życie tysięcy robotników portugalskich, nędzne place, z których nie może żyć nawet jedna osoba, jak braki w systemie ubezpieczeń społecznych, poziomie nauczania w szkołach podstawowych, obowiązującego tylko w zakresie czterech klas.

POGWAŁCENIE ZASAD LUDZKICH W KOLONIACH

Biskupowi Oporto, który publicznie piętnował niesprawiedliwość społeczną, a w liście do Salazara skarżył się na nadużycia państwa wobec Kościoła... od sześciu lat nie pozwala się wrócić do Portugalii. Po serii grózb i gwałtownej kampanii przeciw biskupowi, skorzystano następnie z jego wyjazdu za granicę i odmówiono mu prawa powrotu do ojczyzny.

Polityka, prowadzona przez rząd w koloniach afrykańskich ma czelność powoływania się na tzw. „misyjne posłannictwo portugalskie”, co stanowi i powoduje pomieszanie pojęć politycznych i religijnych. W tych sprawach Kościół w Portugalii musi milczeć. Ale tym donośniej wołają czarni księża z Angoli, którzy zaraz po rozpoczęciu tam wojny, skierowali do nuncjusza papieskiego w Portugalii (październik 1963 r.) list, w którym czytamy: „Misja portugalska w Afryce zawsze posługiwała się jednocześnie krzyżem i mieczem. Nawracając na chrześcijaństwo chciano, aby nawróceni stawali się jednocześnie Portugalczykami... My, tubylczy księża, związani z ludem Angoli krwią i tradycjami, odczuwaliśmy całą gorzyc sytuacji... Dla rządu ewangelizacja ludu była tylko pretekstem do rozwijania działalności kolonizatorskiej. Wiemy, że wcześniej czy później z pomocą Kościoła lub bez tej pomocy, nastąpi wyzwoleń Angoli i wiemy, że osiągnięcie to jak wszelkie osiągnięcia dokonywane bez udziału Kościoła może stać się osiągnięciem wymierzonym w Kościół, jeżeli nie będzie on miał zrozumienia dla ducha czasów współczesnych.

Cierpieliśmy w więzieniu i na wygnaniu tortury fizyczne i moralne, w szatański sposób usiłowano nas zniesławić, próbowano nawet ograniczyć nas w działalności kapłańskiej i wszystko to trwa i przybiera cechy trwałości.

Łatwo się domyślić, że w tej sytuacji Kościół Chrystusowy ma mały prestiż w środowiskach zawodowych, artystycznych i kulturalnych oraz w świecie robotniczym Portugalii...

Niechże więc apel nasz... przyczyni się za sprawą naszych biskupów do soborowej odnowy Kościoła w Portugalii”.

(w)

Portugalskie kolonie — to krwawy wyzysk tubylców



JEZUS A CZŁOWIEK WSPÓŁCZESNY

S pory chrystologiczne nie są dziś tak powszechne jak dawniej. Obecnie dyskutuje się mariologię i inne drobniejsze detale. Jednak był czas, gdy poważnie wątpiono w niektórych kręgach chrześcijaństwa co do roli jaką spełnił Jezus Chrystus. Wówczas też powstało rozumowanie, którego treścią było twierdzenie, że Majestat Boży obrażony nieposłuszeństwem i lekceważeniem pierwszych ludzi wymagał od tych ostatnich odpowiedniej obrazie satysfakcji. Obraza, ze względu na osobę obrażonego, była nieskończona, więc i satysfakcja musiała być co do wartości nieskończona. Ale ludzie, jako istoty ograniczone, takiej dać nie byli w stanie, bo cokolwiek by uczynili, miałyby to zawsze tylko wartość ograniczoną. Sam Bóg postanowił im tedy pomóc w tym względzie i w raju zapowiedział pierwszym rodzicom, że Syn Jego ukaże się kiedyś na ziemi, przyjmie przez Wcielenie naturę i postać człowieka, a ofiarując w imieniu i w zastępstwie ludzkiego rodu upokorzenie Swoje i śmierć męczeńską, mające z powodu Jego Bóstwa wartość nieskończoną, na zadośćuczynienie za wyrządzoną w raju majestatowi Bożemu zniewagę, ród ludzki z ciężającej na nim winy oczyści, usprawiedliwi i znowu mu niebo otworzy.

Miał więc przyjść na świat Mesjasz — Me-szi zwany przez Żydów, a Christos przez Greków. Cztery tysiące lat miało, cztery tysiące smutnej i twardej poza rajem pielgrzymki, podczas której ludzki ród, jak wędrowiec na puszcy, zmyliwszy drogę, błąkał się po manowcach bałwochwalstwa; cztery tysiące lat, podczas których był jakby Łazarzem na cztery długie dni złożonym w grobie zepsucia, gdy nareszcie zlitował się Pan Bóg i zesłał mu z nieba obiecane Mesjasza-Zbawcę, którym był Jezus Chrystus.

Nie było dwóch, ani trzech Chrystusów. Fałszywy jest podział, wynikiem którego tworzą teologowie Chrystusa historycznego, Chrystusa ewangelicznego i Chrystusa mistycznego. Jezus Chrystus był jeden. Był uosobieniem miłości i miłosierdzia, był dobrym, był wszechmocnym — był Synem Bożym i odkupicielem ludzkości. Przez swoją śmierć wyrwał ludzkość z władania złego, wyzwolił ze skutków zaciągniętej przez Adama winy. Więcej — wlał w dusze swych wyznawców — prawdziwych czcicieli Boga — Ducha Bożego, pod którego tchnieniem i przy świadomej współpracy człowieka wzrasta i rozwija się w człowieku łaska nadprzyrodzona, wyższe, nadprzyrodzone życie.

Lecz ostatecznie wszystko to jest w rękę Tego, który sam życiem rozrządza i o przeznaczeniu stanowi, i naturę tworzy i ducha wlewa. Wzajemny ten między człowiekiem a Bogiem stosunek zawsze ma w sobie coś tajemniczego, a tajemnica ta będzie tym głębsza, im duch człowieka będzie wyższy i szerszy, im działanie Boga na niego i w nim będzie potężniejsze i pełniejsze.

Jezus sam objawił niewypowiedziany swój stosunek i związek z Bogiem i naturę i powołanie swoje, i osobę swoją; przez to sam nakreślił swój wierny wizerunek i dał nam klucz do rozwiązania zagadki Jego życia.

Kto chce takie świadectwo pod krytykę swoją podciągnąć i to co w nim jest sprzeczne do miary ciasnych formułek swoich, nigdy nie zrozumie Jezusa.

Ze strony obozu liberalnych teologów słyszy się zdanie, że Jezus Chrystus był człowiekiem z ciała i krwi; posiadał te same władze duchowe, tę samą walczącą i postuszną wolę i ludzkie serce z jego uczuciami. Owszem, przynajmniej, że był wywyższony ponad wszystkich, ale to tylko w zakresie człowieka jako bojownika dla sprawy Bożej, który jednak umiera jak człowiek ze skargą na ustach. Dla podtrzymania swych twierdzeń powołują się na Ewangelię św. zwłaszcza na synoptyków, którzy opisują Chrystusa jako człowieka. Owszem, Ewangelie synoptyczne podają historyczny rys Chrystusa jako człowieka, ale obok tego podają fakty, które świadczą o tym, że był też Bogiem, Mesjaszem. Ale św. Jan opisuje tak Chrystusa, że podaje niezbitą dowody na Jego Boskość.

Teologia negatywna znowu twierdzi, że mit Chrystusa urósł z biegiem czasu. Galilejski Rabbi stał się prorokiem z proroka, Mesjaszem z Mesjasza, wznosił się do metafizycznego Syna Bożego.

Ewolucjoniści zaś twierdzą, że Chrystus, dzięki rozwojowi w nim życia wewnętrznego, przez ascezę i modlitwę — sam wspiął się na wyżyny nadczłowieka. Reszty dokonał entuzjazm uczniów.

Racjonalisci zgadzają się z tym, że Jezus jest prawdziwym pocieszycielem cierpiących, że jest chlubą ludzkości przez cierpliwość w przeciwnościach, miłość ku prostaczkom, sładcy nawet w stosunkach do wrogów. Był idealnym człowiekiem, ale tylko człowiekiem.

Jak jest naprawdę?

Kim był Jezus Chrystus?

Zapytajmy o to źródła — Ewangelii, natchnionego Słowa Bożego. Ale tu znów pytanie: Czy Ewangelia jest dziełem historycznym w ścisłym tego słowa znaczeniu, czy Ewangelisci chcieli nam dać chronologiczny, historyczny opis życia Jezusa Chrystusa? Trzeba by powiedzieć, że gdyby mieli rzeczywiście taki zamiar, to wywiązali się z tego zadania nieszczęśliwie. Przyczna to każdy, kto spróbuje ułożyć tzw. harmonię ewangeliczną, czyli stworzyć jednolitą i chronologiczną historię życia Jezusowego na podstawie czterech Ewangelii. Wtedy nawet tak zasadnicza rzecz, jak ilość lat publicznej działalności Chrystusa okaże się niepewną. Widocznie więc Ewangelistom nie zależało na pisaniu ściśle pojętej historii. Z drugiej strony nie można także uważać Ewangelii za naiwne, ludowe zbiory różnych opowiadań z życia Jezusa, przypadkowo zestawionych. Aż nadto bowiem jest widoczna ich celowa kompozycja. Wskazać by można na szereg przykładów takiej celowej kompozycji, z których klasycznym będzie niewątpliwie „kazanie na górze” lub „zbiór przypowieści”. Nawet zestawienia cudów Jezusowych wskazują przy bliższej analizie na celową kompozycję. Ewangelie nie są więc historią w ścisłym znaczeniu, ale są kompozycją słów i czynów Jezusowych, według pewnych idei przewodnich Jego życia oraz według dojrzałości i charakteru środowisk wczesnochrześcijańskich, dla których zostały napisane.

Ta kompozycja nie jest dowolna i oderwana, powstała ona z potrzeb życiowych pierwszych uczniów i pierwszej gminy chrześcijańskiej. Chrystus swoim wystąpieniem, swymi potężnymi czynami, swoją autorytatywną i nową nauką, swoją śmiercią i zmartwychwstaniem poruszył umysły i serca wszystkich. Gdy Chrystus odszedł, uczniowie pozostali sami, a dusze ich nurtował cały szereg problemów życiowych. Czuli oni, że spotkanie z Chrystusem zobowiązuje ich do przebudowy ich dotychczasowej postawy życiowej, do zerwania z dotychczasowym wartościowaniem i patrzeniem na życie. Jak ma wyglądać to nowe życie? Kim był ten, który zobowiązał do tej zmiany życia?

Jakie jest uzasadnienie, jaka gwarancja, jaka sankcja tej nowej sprawiedliwości, która domaga się od nich ofiary nawet z własnego życia?

Ewangelie są odpowiedzią na pytania nie tylko pierwszych uczniów, bo dotąd wieki i pokolenia stawiały te same pytania wobec Chrystusa. Ewangelie dają więc odpowiedź ludziom szukającym odpowiedzi na pytanie kim był Jezus Chrystus i właściwej dla siebie postawy życiowej. Mówią najpierw, że Chrystus był Mesjaszem, na którym wypełniły się prorocтва Starego Testamentu: że był Bogiem, który posiadał moc wszechwładną nad wszystkimi elementami świata; że miał moc stawiania żądań i wymagań wobec całego ludzkiego życia; a na uzasadnienie tych Jego postulatów przytaczają Ewangelię, słowa zdumiewające nas: „A ja wam powiadam” (Mat 5,22). Mówię Ewangelię, że od wypełnienia tych żądań, od pójścia za nim zależy los i szczęście człowieka, że za ich wypełnieniem idzie zmartwychwstanie i żywot wieczny, a za ich odrzucenie płaci się zaprzepaszczeniem szczęścia wiekiściego. Ewangelia staje więc wobec żywego człowieka z zamiarem, co więcej: z nakazem i żądaniem ukształtowania jego całego życia. Ewangelia chce być formą życiową człowieka. Staje ona wobec człowieka dręczonego różnymi życiowymi problemami, uwikłanego w różne wątpliwości, nie zaspokojonego, szukającego instynktownie jakiegoś punktu oparcia w beznadziejności tego życia, nie rozumiejącego samego siebie i daremnie starającego się zrealizować swoje ideały. Wobec tego człowieka staje Ewangelia i podaje mu formę nowego człowieczeństwa, obiecując rozwiązanie wszystkich problemów i zaspokojenie wszystkich tajemnych tęsknot jego duszy. To jest sens Ewangelii i sens odkupienia świata przez Jezusa Chrystusa. Nowa postawa odkupionego człowieka wobec zagadnień życia jest ważniejsza niż spekulacja teologiczna na temat sposobu, w jaki się odkupienie dokonało. Jest tragedią chrześcijaństwa, że na skrzydłach zawilej, a jakże naiwnej skądinąd metafizyki odrywał człowieka przez wieki od ziemskich spraw i problemów, zamiast kształtować nową postawę, ewangeliczną postawę człowieka odkupionego przez Jezusa Chrystusa. Po prostu: nie tędy droga.

POGLĄDY IZRAELITÓW

O Chrystusie, o Mesjaszu — Odkupicielu miano przeróżne poglądy. Zapytajmy, co Izraelici sądzili o mającym przyjść Mesjaszu? Oczywiście, że nie było jakiegoś jednolitego poglądu na tę sprawę, co wynika poniekąd z dysputy Chrystusa ze skrybami i faryzeuszami podanej u św. Mateusza (22, 40-46), niemniej jednak można się domniemywać pewnych sprawdzianów doby mesjańskiej przyjmowanych przez znaczną część Izraelitów.

I tak panowało przekonanie, że przyjście mesjasza dokona się w okresie, w którym właśnie wystąpił Chrystus. Powodem tego była między innymi przepowiednia Judy, że nie będzie odjęte od niego berło, aż przybędzie ten, który ma zbawić lud. Wierzone, że przyjście Mesjasza dokona się wówczas, gdy na świecie nie będzie wojny — a właśnie w okresie narodzenia Jezusa Chrystusa nie było żadnych wojen w wielkim Imperium Romanum.

Rozumowano atoli bardzo przyziemnie, Królestwo mesjańskie pojmowano jako królestwo ziemskie, a działalność mesjasza łączono z polityką, która miała przywrócić i zapewnić Izraelowi wolność, a ponieważ tej wolności aktualnie nie było, przeto wyobrażano sobie, że mesjasz ujmie miecz, stanie na czele zbrojnych pochodów i rozpocznie świętą wojnę, podobną tej, jaką prowadzili w swoim czasie Machabeusze. Ponieważ do pokonania wrogów za mało było aktualnie żyjących Izraelitów, dlatego mniemano, że mesjasz wskrzesi wszystkich umarłych, zarówno żydów jak i pogan, lecz ponieważ żądzi spoczywają w grobach w pozycji siedzącej, więc powstaną pierwsi i pod wodzą

bohaterkiego mesjasza pokonają gojów, w wyniku czego staną się panami całego świata, a meszjasz ich królem. Jerozolimie zostanie przywrócona dawna jej sława z okresu Dawida i Salomona.

Wychodząc z przepowiedni Izajasza — proroka próbowano określać błogie skutki przyjścia Mesjasza i prześcigano się w wyszukiwaniu przykładów niebywałego dobrobytu. Tak np. twierdzono, że każdy Izraelita będzie rozporządzał kilkunastoma tysiącami niewolników, każda rodzina wydawać będzie co drugi dzień potomka, 70 par osłów nosić będzie klucze od skarbcza narodowego itp.

Gdzież tu choćby odrobina myśli religijnej, tak pięknie zarysowanej i tak mocno bronionej przez proroków? Po prostu zwykły ziemski oportunizm.

Tymczasem sens odkupienia jest według Ewangelii zupełnie inny. Występuje on w Ewangelii pod nazwą „Królestwa Bożego”. To idea centralna Ewangelii, całego życia i przepowiadania Chrystusa. „Pokutę czyńcie albowiem przybliżyło się Królestwo niebieskie” (Mat. 17) — tak zaczyna Jezus swoją misję — a potem obchodzi całą Galileę, nauczając w bożnicach i przepowiadając Ewangelie królestwa. Królestwo Boże — to jest wartość przede wszystkim wewnętrzna. „Królestwo Boże w nas jest”. To nic innego

jak panowanie Boga w duszach ludzkich, albo inaczej, zrealizowanie w duszach ludzkich poprawnej postawy, poprawnego stosunku do Boga. Ta idea królestwa Bożego rozwija się na tle nieustannej kontrowersji z faryzeuszami, z ich postawą wobec Boga i ich pojęciem królestwa Bożego.

Zastanawiająca jest postawa Chrystusa wobec faryzeuszów. Ten Jezus, który przyszedł powołać grzeszników, który zbliża się do celników i cudzołożników, aby ich podnieść z upadku, który nie przyszedł sędzić zła w duszach ludzkich, lecz wybawić je od tego zła, wobec faryzeuszy zna tylko słowa potępienia: „Biada wam uczeni w piśmie i faryzeusze, obłudnicy” (Mat. 23.25). Cóż w postawie faryzejskiej napełniało Chrystusa taką odrzą? Tłumaczy nam to przypowieść o faryzeuszu i celniku modlących się w świątyni. (Łk. 18, 10-18). Postawa faryzejska jest postawą dumy z własnej doskonałości etycznej, postawą ufności we własne siły, wyznającą ideę samowzbawienia. Faryzeusze wierzyli w usprawiedliwienie z uczynków Zakonu. Wypełnienie Zakonu było według nich zasługą u Boga, która go zobowiązuje do nagrody. Stosunek do Boga określali na zasadzie prawa: człowiek swoimi czynami, swoją sprawiedliwością zobowiązuje Boga. Wartość etyczną człowieka tworzy wyłącznie jego własny czyn. W takiej postawie nie ma miejsca na pojęcie łaski. Czyn sprawiedliwy pojmuje się jako zewnętrzną zgodność z Zako-

nem. wewnętrzne motywy są nieistotne. Etyka faryzejska była antropocentryczna, indywidualistyczna. Łączyła się z poczuciem własnej wartości, z pogardą i nienawiścią wobec innych, wobec tych, co nie znali Zakonu.

Królestwo Boże oczekiwane przez faryzeuszy miało być także nagrodą za dokładne wypełnienie Zakonu przez cały naród. Gdy to nastąpi Meszjasz jako potężny król podbije cały świat pod panowanie narodu wybranego i nastanie dla niego era ziemskiej potęgi i szczęśliwości.

Postawa ta w swej najgłębszej istocie była więc postawą pychy. Postawą zbuntowanego anioła, postawą, która stanowiła istotę grzechu pierworodnego. Człowiek będący stworzeniem, bytem względnym, całkowicie od Boga zależnym, odrywa w niej swoje spojrzenie od Boga, aby spojrzeć z upodobaniem na siebie, aby spocząć w sobie i oprzeć się na własnych siłach, uczynić siebie równym Bogu. Pycha w najgłębszej istocie to jak mówi Hessen, „poczucie istnienia z siebie”, w przeciwieństwie do właściwego człowiekowi poczucia stworzonności. Postawa ta jest zarazem najgłębszym zaprzeczeniem właściwej postawy wobec Boga, jest przeciwieństwem postawy religijnej. Współczesna psychologia religii nazywa ją postawą zamkniętą, postawą uniemożliwiającą przeżycia religijne.

CHRZEŚCIJANIE W WALCE O POKÓJ

Chociaż to już dwa miesiące upłynęły od tego wydarzenia, trzeba je jednak odnotować i ze względu na jego wagę moralną i polityczną. W końcu października (17—22.X.) odbyły się w Sofii obrady Komitetu Doradczego Chrześcijańskiej Konferencji Pokoju. Komitet liczy ok. 120 osób, a jego stałym miejscem pracy jest Praga. Tym razem łącznie z ekspertami i obserwatorami zebrało się ok. 190 uczestników. Chrześcijanie różnych kościołów z 27 krajów! Przywiodła ich do Sofii troska o zachowanie pokoju między narodami, a więc troska o to, co jest największym skarbem ludzkości.

W obradach brała czynny udział delegacja polska. W skład której wchodził: ks. bp Nikanor (Kościół Prawosławny), bp A. Wantuła (Kościół Ewangelicko-Augsburski), ks. superior J. Niewieczerał (prezes Rady Ekum.), pos. J. Makowski (Chrześcijańskie Stow. Społ.), ks. sen. R. Trenkler, ks. Z. Pawlik, ks. A. Znosko i jako obserwatorzy — przedstawiciele adwentystów — Dąbrowski i mgr Łyko.

Pierwszy referat na sesji plenarnej wygłosił ks. bp Nikanor na temat odpowiedzialności chrześcijan za pokój w świecie.

Na zakończenie obrad uchwalono „Rezolucję w sprawie Wietnamu” oraz „Apel do chrześcijan w Stanach Zjednoczonych”.

Przedstawiciele chrześcijan żądają:

— natychmiastowego i bezwarunkowego zaprzestania nalożonych bombowych na Dem. Republikę Wietnamu i za-

kończenia wszelkiej akcji militarnej ze strony USA,

— uznania Frontu Wyzwolenia Narod. za prawowitego reprezentanta ludności południowowietnamskiej,

— wypełnienia postanowień układu genewskiego z 1954 r. aby ludność wietnamska mogła sama rozstrzygać swoje sprawy bez obcej interwencji,

— wycofania z Wietnamu wojsk amerykańskich i innych sprzymierzonych z nimi,

— zlikwidowania baz militarnych USA w Wietnamie pld,

— pomocy ekonomicznej dla Wietnamu...

W „apelu do chrześcijan USA” położono nacisk na konieczność zwiększenia presji na rząd Stanów Zjednoczonych, aby doprowadzić do pokoju w Wietnamie, bowiem „w tej wojnie służy się innemu Bogu, nie temu, w którego wierzą wyznania chrześcijańskie”.

UROCZYSTOŚCI MILENIJNE WE WROCŁAWIU

W dniach 5—6 listopada br. we Wrocławiu odbyły się uroczystości milenijne zorganizowane przez diecezję wrocławską Kościoła Prawosławnego.

W pierwszym dniu obchodów w katedrze Kościoła Prawosławnego zostało odprawione uroczyste nabożeństwo wieczorne.

W niedzielę 6.XI. odprawiono liturgię, a następnie nabożeństwo dziękczynne. Kazanie okolicznościowe wygłosił metropolita ks. Stefan Rudyk.

Uroczystości diecezjalne Kościoła Prawosławnego zbiegły się z obchodami Tysiąclecia orga-

nizowanymi przez Oddział Wojewódzki Polskiej Rady Ekumenicznej, na program których złożyła się uroczysta akademii poświęcona Tysiącleciu Państwa Polskiego.

Akademia odbyła się w kościele ewangelicko-augsburskim. Przybyli na nią wierni z Kościołów ekumenicznych.

Przemówienie powitalne wygłosił ks. bp Bazyl — ordynariusz diecezji wrocławskiej Kościoła Prawosławnego, następnie ks. Maksymilian Zipfel — z Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego wygłosił referat na temat: „Kościoły ekumeniczne w Polsce w obliczu II tysiąclecia”.

Przemówienie okolicznościowe wygłosił prezes Rady ks. sup. Jan Niewieczerał.

Po akademii odbyło się spotkanie przedstawicieli Kościołów zrzeszonych w PRE.

ZJAZD DZIEKANÓW KOŚCIOŁA PRAWOSŁAWNego

W dniach 9—10 listopada br. w Warszawie odbył się zjazd dziekanów metropolii warszawskiej Kościoła Prawosławnego.

Podczas obrad omawiano sprawy związane z działalnością kościoła oraz sprawy statutowe.

KURS BIBLIJNY ZJEDNOCZONEGO KOŚCIOŁA EWANGELICZNEGO

W dniach od 7 do 11 listopada br. w kaplicy Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego w Warszawie odbył się kurs biblijny. Głównym tematem była

nauka o zbawieniu. Uczestniczyło w nim 25 osób. Wykłady prowadzili duchowni ze Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego.

KURS EWANGELIZACYJNY DLA MŁODZIEŻY Z KOŚCIOŁA BAPTYSTÓW

W dniach od 30 października do 6 listopada br. w kościele chrześcijan baptystów w Warszawie, odbył się kurs ewangelizacyjny dla młodzieży starszej. Uczestniczyło w nim 30 osób. Program kursu obejmował przedmioty biblijne, eschatologię, etykę oraz zagadnienia związane z ewangelizacją.

W godzinach wieczornych odbywały się nabożeństwa ewangelizacyjne, w których uczestniczył gość z Nigerii, kaznodzieja E. G. Agbooli. Był to już szósty kurs ewangelizacyjny w br. organizowany przez Polski Kościół Chrześcijan Baptystów.

INAUGURACJA NOWEGO ROKU W SEMINARIUM BAPTYSTÓW

W dniu 6 listopada br. w kaplicy chrześcijan baptystów w Warszawie, odbyła się inauguracja nowego trzyletniego kursu teologicznego w seminarium teologicznym Kościoła Baptystów. Seminarium mieści się w budynku Kościoła Baptystów w Warszawie, przy ul. Waliców. Seminarium posiada własne audytorium, bibliotekę oraz prowadzi dom studenta.

Na pierwszy rok studiów wstąpiło 9 studentów. Kierownikiem seminarium jest ks. mgr Zdzisław Pawlik — sekretarz Rady Kościoła Baptystów.



Wenecja – Bazylika św. Marka



Wenecja – Pałac Dożów



Florencja – widok ogólny

WŁOCHY PO POTOPIE

by spowodować nieobliczalne straty. Mówi się — „kataklyzm”, „potop”, „katastrofa stulecia”, może nawet „tyśiąclecia”... Rzeka Arno nie raz jeden unosiła do morza mienie mieszkańców, zamieszkałych nad jej brzegami. Historia zanotowała szczególnie wielkich rozmiarów powodzie w latach 1333, 1537, 1666, 1740, 1833... ale żadna z nich nie dorównała tegorocznej.

Szczególnie ucierpiała Florencja. A trzeba wiedzieć, że miasto to jest nie tylko perłą Toskanii, ale całych Włoch. Zajrzyjmy choćby do Podręcznej Encyklopedii. Przeczytamy tam, że „od XIII do XVI w. Florencja była jednym z najważniejszych we Włoszech ośrodków kultury i sztuki, a także produkującym miastem w dziedzinie rzemiosła artystycznego”. **Wiek XIII, XVI, to daleka przeszłość — ktoś powie. Mielimy i w Polsce miasta, które w tym czasie słynęły z bogactw, a dziś nie zasługują nawet na nazwę miast... Florencja — w odróżnieniu od wielu innych miast, zwłaszcza od naszych polskich — grabionych, palonych i dewastowanych przez najeźdźców ze wszystkich stron świata — miała to szczęście, że zachowała bogactwa przodków, że do skarbów kultury ubiegłych wieków każdy następny wiek dorzucał nowe, że uniknęła grabieży i dewastacji. Aż nadeszła katastrofalna powódź...**

Woda wdarła się do piwnic i składów. Wybuchły kotły centralnego ogrzewania.

Zmieszana z pyłem węglowym, smarem wszelkiego rodzaju, naftą, olejami, brudną, mazista ciecz dokonała dzieła zniszczenia w kościołach, muzeach, bibliotekach... W kościele Santa Croce zniszczyła bezcenne dzieło „Ukrzyżowanie” pędzla Cimabuego (w. XIII), jak również inne obrazy, freski Orcanii i T. Gaddi, rzeźby Donatella. W katedrze uległ zniszczeniu model słynnej kopuły Brunelleschiego, zdobiącej katedrę. W znanym „baptysterium” zerwane zostały płaskorzeźby Lorenza Ghiberti. Uszkodzona została Madonna dłuta Michała Anioła. W Muzeum Bardini zniszczone zostały stare rękopisy, w Bibliotece Narodowej całkowitemu zniszczeniu uległo ok. dwustu tysięcy tomów... Niepodobna wyliczyć wszystkich bezcennych strat, które są stratami całej ludzkości.

Poza Florencją katastrofa powodzi szczególnie dotkliwie dotknęła jeszcze Wenecję.

Wg prowizorycznej oceny szkody w rolnictwie sięgają sumy 800 mld lirów (1.300 milionów dol.). Łączna wartość szkód wynosi 1500 mld lirów (2,5 mld dol.), z tym że znacznej części szkód naprawić się nie da. Życie straciło ok. 100 osób. Zniszczonych — 30 linii kolejowych.

Cały świat śpieszy z pomocą. Ale wiele dziesiątków lat upłynie zanim naprawione zostaną szkody te przynajmniej, które naprawić się dadzą.

Zamieszczone ilustracje przedstawiają Wenecję i Florencję przed powodzią.

Przez wiele długich godzin i dni padały deszcze, a wody górskich potoków i rzek wzbierały coraz gwałtowniej aż wystąpiły z brzegów i rozlały się szeroko po żyznych ogródach i bogatych miastach Toskanii. 5 listopada Express Wieczorny notował: „Wskutek dziesięciodniowych ulew, wody wzbieranej rzeki Arno wdarły się do zabytkowego centrum Florencji...” „Pilot, który przelatywał samolotem w drodze z Genui do Rzymu twierdzi, iż cała Toskania przekształciła się w ogromne jezioro, z którego sterczą wierzchołki drzew oraz dachy zalanych domów”.

W parę dni później zaczęły nadechodzić uspokajające wieści, że wody opadają. Powódź trwała krótko, ale jednocześnie wystarczająco długo, że-

Z DZIAŁALNOŚCI ODDZIAŁU POLSKIEJ RADY EKUMENICZNEJ W GDAŃSKU

Na terenie województwa gdańskiego od kilku lat istnieje i działa Oddział Polskiej Rady Ekumenicznej, który powstał z inicjatywy ks. Bogdana Trandy, pastora Kościoła reformowanego. Dzięki niemu nastąpiło zbliżenie między różnymi chrześcijańskimi Kościołami działającymi przede wszystkim na terenie Trójmiasta. Odbywały się spotkania przedstawicieli Kościołów, wspólne nabożeństwa, koncerty religijne i inne uroczystości. Wierni i duchowni Kościołów, które dawniej żyły do siebie niechęć, mieli okazję bliżej się poznać i wyżyć nieuzasadnionej wrogości. Uznano, że na tym pierwszym etapie poznania nie o tym, co dzieli, należy mówić, lecz o tym co łączy. A łączy nas wszystkich bardzo wiele, przede wszystkim ten sam dobry Bóg i Jezus Chrystus oraz Jego święta Ewangelia, a w rzeczach doczesnych wspólna ojczyzna — Polska. Te właśnie elementy

wspólne i pozytywne stały się podstawą życia ekumenicznego na naszym Wybrzeżu.

Tysiąclecie Państwa Polskiego zastało już odpowiednio przygotowanych i dojrzałych do tego, by w zgodzie i wzajemnym poszanowaniu obchodzić tę wielką naszą narodową uroczystość.

Przewodniczącym oddziału gdańskiego został ks. kanonik, dziekan Borys Szwarckopf, proboszcz kościoła prawosławnego. Nowy kierownik w krótkim czasie wykazał wielkie zdolności organizacyjne. Dzięki jego sprzysiężeniu i ofiarnej pracy Oddział, który po wyjeździe ks. B. Trandy do Warszawy jakby zawiesił swoją działalność, na nowo odżył. Ks. Borys Szwarckopf podał wniosek, by zaraz po akademii zorganizowanej z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego przez PRE w Warszawie podobna uroczystość odbyła się u nas w Gdańsku. Wniosek przyjęto. Cały ciężar przygotowania imprezy spadł naturalnie na przewodniczącego, który wywiązał się z tego zadania znakomicie, mimo że napotykał na różne trudności.

Ks. Z. M.



SEN WIGILIJNY

Władek siedział przy stole wigilijnym jak urzeczony. Miał 9 lat. Najbardziej nie dawało mu spokoju to, o czym przy wieczerzy mówiła matka. Opowiadała, że w wigilię o północy rozmawiają ze sobą zwierzęta i biada temu ciekawskiemu, który by chciał je podsłuchać. Podobno stary Filipiak — jak podają starodawne zapiski — za to, że kiedyś odważył się podsłuchiwać o czym też krowy sobie opowiadają — nie wrócił do domu.

Władkowi cała ta historia nie mogła pomieścić się w głowie. Czy rzeczywiście bydło, konie, owce rozmawiają w noc wigilijną? A może jednak... Przecież mama w to wierzy, opowiada. Tak mówią inni na wsi. Słyszał o tym nieraz... A że z natury był ciekawy, za wszelką cenę chciał dowiedzieć się, jak to jest naprawdę. A nuż się uda?... Jest przecież dzieckiem. Tak sobie przez cały czas medytował. Mało interesowały go łyżwy, które znalazł w sianie podobno od „Gwiazdora”. Nic go nie cieszyło. Myślał wciąż tylko o tym, w jaki sposób znaleźć się w oborze w czasie rozmowy zwierząt. A tu wieczerza ciągnęła się w nieskończoność.

Zbliżała się północ. Starsi wybrali się na pasterkę. Władek postanowił skorzystać z okazji. Jak zahipnotyzowany, wyszedł z domu i pędem dopadł budynku gospodarczego, w którym znajdowały się krowy, konie, owce. Z biciem serca oczekiwał, kiedy wybijie dwunasta na zegarze kościelnym. Weisnął się w kąt obory, zagrzebał w słomie, szcękając zębami ze strachu, przejęcia i zimna. Po chwili zrobiło mu się ciepło. przyjemnie...

Usłyszał jakiś dziwny szmer, szept. Po chwili doleciał doń zupełnie wyraźny, ludzki głos „Łaciatej”, która zwracając się do pozostałych zwierząt powiedziała dostojnie: — Dany nam jest w tę noc wigilijną dar mowy ludzkiej. Korzystając z tego, nagadajmy się więc do woli...



Ale co to? Widzicie? Ktoś tu jest między nami. Jakiś chłopiec. Biada śmiatkowi!

Stała się rzecz straszna. Wszystkie krowy, konie oraz owce z nienawistnym, przejmującym rykiem napadły na nieszczęśliwego chłopca i jęły go niemiłosiernie, bezlitośnie traktować. Władek zaczął krzyżeć, wzywać pomocy...

Przebudził się cały spocony. W oborze było zupełnie cicho. Wszystkie zwierzęta stały senne na swoich miejscach. A więc to był tylko sen... Straszny, wigilijny sen. Czekał jeszcze chwilę — może jednak zwierzęta przemówią... Nic z tego. Zawiedziony opuścił oborę i pobiegł do domu. Na szczęście rodzice dopiero co wrócili z pasterką. Nie zauważyli nieobecności Władka. A nawet, gdyby spostrzegli, to co? Przynajmniej przekonał się, jak to jest — ta rozmowa zwierząt w noc wigilijną.

JÓZEF JELITA-BORZEŃSKI

KRAKOWSKI

SZOPKI



OD AUTORA: Ten pełen pogody i humoru obrazek został wzięty z powieści Karola Dickensa pt. „Klub Pickwicka”. Dickens żył w ubiegłym stuleciu, w Anglii. Został olbrzymią spuścizną literacką. Jego książki, zwłaszcza „Dawid Copperfield”, „Mała Dorrit” i wspomniany już „Klub Pickwicka” tłumaczone na wiele języków, znane są na całym świecie.

W drukowanym przez nas fragmencie Dickens pokazuje, jak obchodzono w Anglii Boże Narodzenie w 1827 r. Podkreślił jednak należyte, że stare obyczaje przetrwały i do dziś można je oglądać w Wielkiej Brytanii.

*

Tu już wszyscy byli zgromadzeni, według dorocznego zwyczaju, ściśle przestrzeganego od niepamiętnych czasów przez przodków pana Wardle'a. Gospodarz własnoręcznie zawiesił ogromną gałąź jemioli na samym środku sufitu, co było powodem mnóstwa scen, zamieszania i walk. Wśród powszechnego gwaru i tłoku pan Pickwick z galanterią, która by przyniosła zaszczyt potomkowi samej pani Tollinglower, ujął starą damę za rękę, poprowadził pod mistyczną gałąź i ucałował z wielkim ugrzeczaniem i uszanowaniem. Stara dama poddała się temu atakowi grzeczności z całą godnością odpowiadając tak uroczystemu obrzędowi. Ale młode panny nie były tak głęboko przejęte przesadnym uszanowaniem dla starego zwyczaju, może też wyobrażały sobie, iż smak pocałunku podnosi to, że niełatwo go otrzymać; krzyczały więc, wyrwały się, kryły się po kątach, groziły i błagały, jednym słowem, robiły wszystko, tylko nie uciekały z kuchni, aż do chwili, w której nawet najbardziej przedsiębiorczy gentlemani omal nie zaniechali przedsięwzięcia. Wtedy nagle damy spostrzegły, iż beużyteczny był dalszy opór i dobrowolnie pozwoliły się ucałować. Pan Winckle pocałował młodą czarnooką pannę; pan Snodgrass pannę Emilę, ubodzy krewni ucałowali każdego nie wyłączając najbrzydszych panien, które w powszechnym zamieszaniu mimowolnie same wzięły pod jemiolę. Co do Sama, to ten, nie widząc konieczności podsuwania się aż pod mistyczną gałąź, całował Emmę i inne służące w każdym kącie, gdzie tylko mógł je

POCAŁUNEK POD JEMIOŁĄ

złapać. Pan Wardle stał przy kominku przypatrując się tej scenie z najwyższym zadowoleniem, pyzaty zaś chłopiec, korzystając ze sposobności, konsumował wszystkie po kolei ciastka, które jedna z bawiących się osób odłożyła sobie na bok.

Na koniec krzyki ucichły, twarze oblały rumieniec, leczki się porozkręcały: pan Pickwick uściskawszy starą damę, jak rzekliśmy wyżej, stanął pod jemiolą z uśmiechem przypatrując się temu, co się dokoła działo. Wtem młoda czarnooka panna, poszeptawszy z kilkoma innymi pannami, rzuciła się ku filozofowi, pochwyliła go obiema rękami za szyję i serdecznie ucałowała w lewy policzek. Na ten znak tłum młodych pańienek otoczył uczonego filantropa i nim ten miał czas zastanowić się i umiarkować, o co chodzi, od każdej otrzymał pocałunek.

Piękny to był widok: pan Pickwick w środku tej grupy, pociągany to w jedną, to w drugą stronę, całowany w podbródek, w nos, w okulary, podczas głośniejszych i ochoczych śmiechów. Ale wkrótce widok stał się nierównie piękniejszy, gdy pan Pickwick z zawianymi chustką oczami rzucać się począł na ściany, meble i wszelkie sprzęty, zgłębiając z wielkim wdziękiem wszystkie tajemnice ślepej babki aż do chwili, kiedy złowił jednego z ubogich krewnych. Wtedy zajął się wyłącznie uciekaniem od ślepej babki, co wykonywał ze zwinnością wywołując oklaski całego towarzystwa.

Ubodzy krewni łapali tych, którzy, jak im się wydawało, tego właśnie pragnęli, i pozwolili łapać siebie tym, którzy za długo byli ślepa babką.

Gdy miano dosyć ślepej babki, zaczęto wyciągać rodzyнки z płonącego ponczu, a gdy dość już poparzone sobie palce, wszyscy usiedli przy tęgim ogniu do sutej wieczerzy

i ogromnej bowli piwa zmieszanego z winem, nieco mniejszej od zwykłej miednicy, ale w której pieczone jabłka tak nęcąco i wesoło syczały i pękały, że niepodobna było temu się oprzeć.

— Wszystko to — rzekł pan Pickwick — jest bardzo miłe.

— To niezmienny zwyczaj — odrzekł pan Wardle — wszyscy ludzie i robotnicy zasiadają z nami razem do stołu w wigilię Bożego Narodzenia. Tak sobie biesiadujemy wspólnie aż do północy, by powitać przyjście Chrystusa, a spędzamy czas na zabawach i opowiadaniach. Trudle, mój chłopcze, dorzuć no drzewa.

Miliony iskier buchnęły w kominie, gdy poruszono ognisko, a czerwony płomień rozpostarł ciepło i światło po całej kuchni i każdą twarz oświecił wesołym blaskiem.

— No — powiedział pan Wardle. — Teraz zdałaby się piosenka. Chyba sam ją zaśpiewam w braku lepszego śpiewaka.

— Brawo — zawołał pan Pickwick. Napełnijcie szklanki — powiedział pan Wardle. — Dobre dwie godziny upłyną, zanim pozwolę wam zobaczyć dno naczynia przez warstwę tego pięknego płynu. Nalejcie. I — śpiewam.

To powiedziawszy, wesoły staruszek, bez dalszych wstępów, zaśpiewał sympatycznym, niskim głosem:

„Ja śpiewam krzepkie Boże Narodzenie, którego mężne serce wiecznie bije. Napełniam szklankę po brzeg, by radośnie, Wzniesić jego zdrowie trzykrotnym: — Niech żyje.

Więc by się śmiało stare jego serce, Niech ta biesiada czci go i wesele, Będziemy jeść i pić, dopóki starczy, i rozstaniemy się — jak przyjaciele.”

Wybrał i do druku przygotował
EDWARD WIDERA

„PTOK” CZYLI ŚLĄSKIE HOBBY

Znane określenie „hobby” ma swój odpowiednik w języku polskim: „konik”. Jednak w gwarze śląskiej nazywa się to inaczej: „ptok”. W żadnej dzielnicy kraju nie ma tytułu „hobystów” co na Śląsku. Psychologowie tłumaczą to koniecznością odprężenia po ciężkiej i nerwowo wyczerpującej pracy pod ziemią, a górnicy i hutnicy mówią po prostu: „Jak człowiek ma „ptoka”, to mu weselej żyć”.

Różne są „pinki”. Nigdzie w Polsce nie cieszą się np. takim powodzeniem ogródki działkowe jak na Śląsku. A w większości w nich gospodarują górnicy i hutnicy. Hodują warzywa i różnego rodzaju kwiaty i krzewy.

Są też Ślązacy, holdujący „ptokowi”, który... pływa. W wielu górniczych i hutniczych mieszkaniach pokoje zastawione są akwariami, w których pływają egzotyczne ryby. Najbardziej znanym wśród wielkiej rzeszy hodowców rybek jest górnik kopalni „Katowice”, Konrad Poloczek, którego akwaria mieszczą 400 rybek różnego gatunku.

Bardzo popularnym „ptokiem” Ślązaków jest gra w skata. Najlepszym dowodem popularności tej gry wśród górniczego i hutniczego stanu są wyniki turniejów skatowych, rozgrywanych na Śląsku. Ta popularna gra wymaga jednak specjalnych kart o zupełnie innym rysunku. Pewnego razu, wskutek wstrzymania produkcji czy z powodu innych trudności zabrakło kart do skata na całym Górnym Śląsku. Górnicy podnieśli wte-

dy wielki krzyk. Interweniować musiał w wytwórni kart w Krakowie aż minister górnictwa. Karty się „nalaży i skat kwitnie na Śląsku nadal.”

Nie bez powodu Centralny Zarząd Związku Hodowców Kanarków mieści się w Katowicach. Właśnie na Śląsku mieszka jedna trzecia hodowców tych ptasich śpiewaków. Bardzo to żmudne i wymagające wiele czasu hobby. Zeby wyhodować kanarka i nauczyć go pięknego śpiewu, trzeba z nim trenować przynajmniej (tak mi w Centralnym Zarządzie Związku Hodowców Kanarków „klarowano”), 5 razy dziennie po pół godziny. Dopiero tak przygotowany kanarek może po pewnym czasie brać udział w zawodach ogólnopolskich. Zawodami takimi interesuje się wielu górników i hutników, nawet ci, którzy nie hodują kanarków.

Drugim również skrzydlatym „ptokiem” jest hodowla gołębi pocztowych. Na Śląsku mieszczą się ogólnopolskie władze Związku Hodowców Gołębi Pocztowych. Ponad milion gołębi pocztowych fruwa nad naszym krajem, a z tego jedna czwarta nad najmniejszym województwem Polski — nad Górnym Śląskiem. W województwie tym jest 7,5 tysięcy zarejestrowanych hodowców. Większość z nich to górnicy i hutnicy. Nie brak jednak i przedstawicieli innych zawodów. Ich to gołębie odbywają rekordowe loty, pokonując nieraz tysiąckilometrowe odległości i zwyciężając w wielu międzynarodowych konkurencjach.

Piękne tradycje mają śląskie chóry śpiewacze, z których wiele liczy sobie pół wieku istnienia. Niejeden chór zapisał w swych kronikach chlubne karty walki o polskość tych ziem. Obecnie jest na Śląsku około 10 tysięcy śpiewaków zrzeszonych w ok. 150 chórach. Niemal każda kopalnia i huta mają też orkiestre, której występ są nieodłączną częścią górniczych i niegórniczych uroczystości.

JÓZEF JEJLITA-RORZEMSKI

Starodawne rodzinne święto. Najbliższa rodzina zbiera się wokół wspólnego stołu. Pachnie żywiczna jedlina. Choinka...

Choinki są różne. Choinki dziecięcych wspomnień, zapowiadające tajemniczą radość — i, choinki dorosłych, które umilają odpoczynek po pracy. Choinki czasu wojny uczestniczące w smutkach i nadziei — i, choinki czasu pokoju, które oddalają codzienne troski. Różne są choinki. Ubrane skromnie płatkami białej waty i przystrojone zabawkami z kolorowego szkła.

Skąd się biorą owe szklane cacka? Oto znalazłem się w Wytwórni Ozdób Choinkowych, gdzie powstają baśniowe zwierzęta, brodate krasnale, gwiazdy, różne dziwy z kolorowego szkła.

Syczą gazowe palniki, rzucając snopy jaskrawego płomienia. Nad nimi pochyleni mężczyźni i kobiety trzymają cienkie, równe, szklane rurki, które rozjarzają się czerwienią, mięknią. Potem szybkie dmuchnięcie i w miejscu nagrzania szkło pęcznieje jak

DZIWY ZE SZKŁA

mydlana bańka, którą wystarczy przymknąć stalową formą, by uzyskać kształt zabawki. I zaraz dalej w mistrzowskich rękach ciągnie się szkło, jak guma i gnie jak plastelina, przybierając gracze bocianów i wdzieg łabędzi. Niektórzy potrafią dziennie wydmuchać 300 takich płatków.

Teraz kolej na barwę. Przezroczyste zabawki, napełnione specjalnym roztworem, pokrywają się w gorącej kąpeli warstwą prawdziwego srebra. Inne malują artystki lakierem i akwarelą. Ileż złotych szyszek, kwiecistych kół i gwiazd ozdobiła już w ciągu 37-letniej pracy uprawna malowaczka — Ratyńska z warszawskiej wytwórni zabawek?

*

Wzory ozdób choinkowych projektują nasi plastycy. Widać, że robią to dobrze, kiedy kilkadziesiąt małych spółdzielczych i kilka wielkich państwowych zakładów tego rodzaju — produkuje te krusze zabawki na eksport. Szklane bomby i krasnale wędrują w świat. W Europie cieszą w święta Francuzów, Anglików, Holendrów, Niemców. Kupują je Stany Zjednoczone, Kanada, kraje afrykańskie i wyspy środkowej Ameryki. Korzystny to eksport — przekracza bowiem rocznie ponad milion dolarów.

(H. W.)

Khalil to miasteczko. liczące mniej niż 3.000 mieszkańców, ale więcej niż 3.000 lat. W Biblii figuruje ono pod nazwą Hebrom. Jeżeli wziąć pod uwagę, że i dziś żyje ono z tego, z czego żyło przed trzema tysiącami lat, że mieści się w tym samym miejscu nad rzeką Naaman, która w Biblii nazywa się Belus, że zamieszkałe jest ono przez tych samych Beduinów, a ci mówią prawie tym samym językiem aramejskim, którym mówił Chrystus Pan – jest ono niewątpliwie jednym z najstarszych i najoryginalniejszych miasteczek na świecie. Miasteczko słynie ponadto z wyrobu szkła.

O tym ośrodku przemysłu szklarskiego opowiada mi pani inżynier Anita Caliguari po swoim powrocie z Jordanii i zwiedzeniu tamtejszych „hut szkła“.

– To nie było zwiedzanie – poprawia pani Caliguari – ale szpiegowanie, które trwało przeszło 6 lat.

– Szpiegowanie?

– No, tak; inaczej tego nazwać nie można. Chodziło mi o te najstarsze recepty fenickie, według których do dziś wyrabia się szkło: tęczowe lub kolorowe o tęczy powierzchni, złote lub srebrne, przejrzyste lub nie. Obejrzałam kilka takich „hut szkła“, z których największa zmieściłaby się w tym pokoju. Wszędzie soda i piasek. Oczywiście piasek tylko z rzeki Naaman i co do tego nikt nie robi tajemnicy. Soda i piasek, a nawet to nie jest sekretem w jakich proporcjach sypie się te dwa składniki do wanny, w której wytapia się szkło. Ale jeden dorzuca nieco opiółków złotych, drugi złotych i ołowianych, trzeci złotych i miedzianych i to dopiero jest sekretem, którego nie chciał mi sprzedać za żadną cenę żaden z tych dziwnych „fabrykantów“.

– Obawa konkurencji?

– Nie tylko. Mogłam długo tłumaczyć, że mi to potrzebne do celów wyłączenie naukowych, mogłam przysięgać na brodę proroka i jego nocne pantofle, że nigdy szkła produkować nie będę – nic by nie pomogło. Tam się przysięga z dziada pradziada, że z piętnaściorga dzieci – jednemu tylko zostawi się tajemnicę produkcji i to jedno obowiązuje jest wyposażać lub wyżywić resztę rodzeństwa. Brat bratu tajemnicy zdradzić nie może inaczej, jak na łożu śmierci. A że na łożu śmierci bywa różnie – należy zaliczyć do cudów, których pełna była niegdyś ta ziemia, że się uchowali tacy, którzy przenieśli tajemnice szklarskie przez trzydzieści wieków... niezmiennie. W takim fanatycznym porządku rola obcego jest bardzo trudna. A jeżeli dodać i to, że jestem przecież kobietą, z którą prawowitny mahometanin nie może rozmawiać, jak równy z równym – to nietrudno zrozumieć, że dla mnie dotarcie do tych tajemnic było wprost niemożliwe. Przypominał mi się ciągle słynny angielski szpieg sprzed pierwszej wojny, pułkownik Lawrence, który znał wszystkie narzecza arabskie,

nosił się po arabsku i cudownie udawał wyznawcę proroka. Ja tak nie mogłam...

– Ale... udało się?

– Przez sześć lat kobieta nawet brzydsza od diabła sprowadziłaby anioła z drogi cnoty, jak mówi prorok. Miałam poza tym inne ułatwienia: byłam zatrudniona w charakterze pielęgniarki w Międzynarodowej Organi-

SZKŁO SPRZED 3 000 LAT

zacji Zdrowia i przez sześć lat, szafując lekami czy innymi formami opieki, zdobyłam sobie zaufanie i sympatię w takim stopniu, że nikt we mnie nie podejrzewał „szpiega przemysłowego“. Miałam poza tym mądrych przyjaciół, z których doktor Kniggers był chyba najmądrzejszy. On położył mi rękę na ustach, gdy zaczęła zbyt głośno mówić o tym, że wywożę tajemnice wyrobu szkła z El Khalil. „Zabiliby panią bez litości i to niekoniecznie ci, którym te tajemnice pani skradła“. Z tego, co zaobserwowałam, co mi udało się sfotografować – oczywiście przez teleobiektyw – wywoziłam z Jordanii materiału na grubą książkę.

– A jak wygląda pani dorobek piarski w dziedzinie historii szkła?

– Mam na swoim koncie trzy książki: „Szkło egipskie“, „Szkło fenickie“ i „Szkło weneckie“. Razem... 1.700 stron druku. Niech pani nie zapomina, że szkło było nie tylko artykułem użytku domowego, artykułem dekoracyjnym, było ono nawet przedmiotem kultu. Starożytni Egipcjanie, pierwsi odbiorcy Fenicjan przywiązywali do szkła mnóstwo przesądów i wierzeń, narzuconych im zapewne przez Fenicjan, to była po prostu propaganda handlowa, niemniej jednak były to wierzenia ogromnie rozpowszechnione. Już sam proces fabrykacji, który z dwóch sypkich surowców dawał ognisty płyn, a z niego przejrzysty „kamień“ symbolizować miał duszę ludzką, przerwającą się w ogniu dla uzyskania wieczności. Im bogatszy był zmarły – tym więcej kosztownych wyrobów szklanych kładziono mu do grobu. Mamy prawo domyślać się, że Izraelici, uciekając z Egiptu zabrali nie tylko owe „pożyteczne naczynia“, ale również i tajemnicę wyrobu szkła, bo w Egipcie późniejszym nie znajdu-

jemy punktów wyrobu, ani wzmianek o przemyśle szklarskim.

– A w Palestynie?

– W Biblii w 33 rozdziale Pięcioksięgu, który zawiera błogosławieństwa Mojżesza dla dwunastu plemion izraelskich, w wierszu 19 Mojżesz obiecuje Zebulonowi, że odziedziczy „skarby ukryte w piasku“. W księdze Midrasz tenże Zebulon płacze przed Wszchemocnym: „Daleś, Panie, braciom moim ziemię urodzajną, a mnie wodę morską, braciom pola i ogrody, a mnie piasek!“ Wiekiusty odpowiada: „To prawda. A czym ci nie dał mureksu na purpurę? Czym ci nie dał szkła?“ Te dwa artykuły fenickiego pochodzenia były długie lata podstawą dobrobytu Palestyny zarówno tej fenickiej od Tyru po Byblos, jak i tej od Morza Martwego po Damaszek – Palestyny aramejskiej.

– I jak pani inżynier doszła do recept szklarskich z tamtej epoki?

– Do zaboru asyryjskiego w 721 r. nie ma w literaturze hebrajskiej żadnych śladów tego zagadnienia, ale w bibliotece Assurbanipala znalazły się recepty na wyrób szkła srebrnego. Złotego, przejrzystego i kolorowego zarówno na sposób fenicki, jak egipski czy izraelski. I są to recepty stare, sprzed podboju izraelskiego odpisywane np. z dokumentów egipskich XVIII dynastii.

– A więc mają więcej niż 3.000 lat?

– Tak jest. Tu również znajdowała się dokumentacja, dotycząca wydumkiwania ze szkła różnych form użytkowych: fiolek, amfor, pudełek, kielichów i kieliszków, flakonów, wazoników itp. Powrót szklarzy na wybrzeża fenickie datuje się za Duriasza (521–485 r. przed Chrystusem). Tyr, Sydon, Akra, Achciw są to ośrodki przemysłu szklarskiego kwitnącego tu przez długie wieki, bo aż do najazdu Mongołów w 1401 r. po Chrystusie. Tamerlan zniszczył przemysł szklarski Palestyny i deportował szklarzy do Samarkandy.

– A z Samarkandy dokąd szkło powędrowało?

– Po upadku państwa Tamerlana, szklarstwo Samarkandy zgłosiło śmierć naturalną. Nie było dla kogo i nie było z czego produkować, bo sody w Turkmenii nie było. Kto mógł, wrócił do państwa Saladyna. Od nich pochodzą ci, których odwiedziłam ostatnio w Jordanii.

– Przecież przemysł szklarski rozwinął się tak daleko, że chyba potrafi wyrabiać piękniejsze rzeczy, niż fenickie czy egipskie?

– Owszem. Przemysł szklarski rozwinął się wprost imponująco: mamy dziś gatunki szkła, którym można wbić gwoździe, szkła sprężynujące, odporne na wysokie temperatury, ba! nawet na wysokie i niskie jednocześnie, niemniej jednak... jak by to pani wytłumaczyć? – żaden przemysł tkacki nie wyparł haftu ręcznego, kolorowa fotografia malarstwa, a muzyka mechaniczna nie wyparła żywej... Tak to już jest.

Rozmawiała

JADWIGA PIECHOCKA

Kup noworoczny numer „Rodziny“
POSPIESZ SIĘ!

Dawniej, to dopiero były... Godne Święta...

Co tam teraz za święta! Ani śniegu, ani mrozu — wiosna, nie zima. Jakby na świecie coś się popłatało. Trzeba by ustalić wszystkie święta na nowo, zależnie od pory roku. No, bo człowiek już się przyzwyczaił, że każde święto musi mieć swoją oprawę, swój odpowiedni czas. A tu masz. Natura buntuje się przeciwko temu i robi sobie, co uważa. Ale przecie człowiek jest panem natury. Więc czas, żeby i to jakoś uporządkować.

Dawniej, ho — bardzo dawno, to dopiero były święta! Śniegu po pas, a mróz taki, że aż skrzypiało pod nogami.

Pamiętam, opowiadał mi ktoś jako dziecku o kwiczołach, że są to takie ptasz-

ki, które gnieźdzą się w śniegu. Ciekawy byłem jak też wyglądają te kwiczoły. Więc, kiedy spytałem o to ojca, ten powiada, że można je znaleźć w śniegu, ale jeno na bosaka. Bo takie czujne, że — kiedy jeno usłyszą skrzywienie butów zaraz tak się zaryją w śnieg, że szukaj wiatru w polu. Aha, jeszcze ojciec mi podkreślił, że najlepiej łapać kwiczoły w Godne Święta, bo to cisza na świecie więc śpią sobie w śniegu.

Nie mogłem doczekać się świąt. Śnieg spadł galanty, mróz też niezgorszy. Znułem więc buty i boso pogałem szukać kwiczołów. Stapałem lekko jak po puchu, a rękami rozgarniałem ostrożnie śnieg. Szukam i szukam, zalałem już daleko w pole, bo tam był największy śnieg, a tu nic nie mogę znaleźć. Nogi już mi zmarzły, ręce zgrabiwały, ale szukam, jak to chłopak. Niechby mi nogi i ręce umarzły, przecie muszę znaleźć.

Naraz zając czmychnął mi spod nóg. O,

to pewnie kwiczoły — pomyślałem — bo co by tu robił zając. Przeczytałem się i wolniutko podchodzę do tego miejsca. — Złapię i zaniosę ojcu — myślę. — Niech zobaczy jakiego ma sprytnego syna.

Dopadłem miejsca gdzie spał szarak i — nic. Płacz mię chwycił. Chucham, dmucham w ręce, ale nic nie pomaga. A nóg w ogóle nie czuję. Czerwone były jak raki. Bezradny, zacząłem pokwękiwać. Już mi się nawet wracać do chaty nie chciało. Kucnąłem więc, skuliłem się jak mogłem i począłem kwilić. Nie wiem kiedy, ale w jakiś czas usłyszałem nagle nad sobą głos ojca:

— Patrzcie, złapaliśmy kwiczoła!

Ojciec wziął mnie na ręce i poniosł do chaty. Tu dopiero rozbeczałem się na dobre. Taki to był ze mnie kwiczoł.

Ale to były przynajmniej święta. Wesołych świąt, z dużym śniegiem. Godnych Świąt, życzy

Wasz
Dziadek Maciej

DLA ODBIORCÓW Z ZAGRANICY

ATRAKCYJNE KSIĄŻKI

WYDANE Z OKAZJI

ROKU SIENKIEWICZOWSKIEGO

„QUO VADIS“ — cena US \$ 3,75
„W PUSTYNI i W PUSZCZY“ — cena US \$ 3,15
„TRYLOGIA“ (6 tomów) — cena US \$ ca 12,50

Wydawca: Państwowy Instytut Wydawniczy (1966)

Zamówienia przyjmuje:

CENTRALA HANDLU ZAGRANICZNEGO

„ARS



“POLONA“

WARSZAWA

ul. Krakowskie
Przedmieście 7

Ciesząca się ogromną popularnością w świecie, najlepsza twórczość Henryka Sienkiewicza wydana w ozdobnej szacie. Znako- mite dzieła pięknej pol- skiej prozy, wiecznie mło- de pozycje i niezapomnia- ne treści — cennym na- bytkiem oraz przyjem- nym podarkiem na każdą okazję.

Należność można wpłacać na konto CHZ „Ars Polona“ w Banku Handlowym SA w Warszawie. Nr. konta 1595-6-51
Do ceny katalogowej należy doliczyć koszt przesyłki w wysokości 5% (kraje europejskie), 10 % (kraje zamorskie).

WESOŁEK I NIEDORAJDA

(ZDARZENIE PRAWDZIWE)

Ciężka i niebezpieczna była praca górnika w amerykańskich kopalniach. A jednak tysięczne rzesze jechały za ocean za chlebem zdobywanym w trudzie w kopalniach. Byli to ludzie biedni — chłopcy i robotnicy. Robotnicy w kopalniach łączyli się w dwunastoosobowe brygady i wspólny urobek dzielili zgodnie między sobą.

Było to w 1910 r. w Scranton.

Iwiński był człowiekiem obrotnym i wygadany, został więc przywódcą grupy. On dobierał ludzi i wyznaczał im robotę i w jego też grupie „grało”.

Był wśród tej robotniczej braci człowiek niewielkiego wzrostu, któremu robota nie szła. Niemrawy, nie umiał nawet kilofa fałchow w garści utrzymać. Słowem, „zawalał” w pracy. Gdzie on już nie był. I w tej i w tamtej brygadzie i zewsząd go wydalali.

Chłopinę tego, na usilne jego prośby, przyjął z litości do brygady Iwińskiego, lecz po kilku dniach postanowiono pozbyć się go. Po skończonej szycie Iwiński rzekł:

— Słuchajcie, człowieku! Jutro już do nas nie przychodźcie!

Niedorajda, bo tak go nazywano, wrócił do mieszkania „wykończony”. Do późnej nocy rozmyślał nad swoim losem. Sercem tarzał strach. Szeptał — Co ja teraz zrobię? Żona moja pozostała sama z siedmiorgiem dzieci w Galicji. Bieda aż piszczy. Boże święty, ratuj mnie! Nie daj mi zginąć.

Podśluchali go inni, że się modlił często i długo do świętego Józefa, swego patrona, ale tym razem to chyba najdłużej.

Młodzi spędzali wieczory przy kartach, przy gorzałce, wesoło i beztrąsko — on zaś był zawsze zgnębiony i smutny. Skoro świt wszyscy wstawali do roboty. Każdy szedł do swojej brygady, tylko niedorajda nie miał gdzie iść. „Na ślepo” wybrał się do szybu. A może weźmie go któraś brygada do siebie...

Ale nikt na niego nie spojrział. Wszyscy zjechali w dół. On też za nimi. Winda zatrzymała się, wysiedli „węglowi” bracia i poszli wzdłuż korytarzy w ciemność.

Rozeszli się wszyscy na stanowiska. O kilka kroków od niego stał czysto ubrany górnik i przyglądał się niedorajdzie przez kilka sekund. Mężczyzna sam go zagadnął.

— Ciebie nikt nie chce do roboty?

— Nie chcą! — odpowiedział chłopina zawstydzony.

— Chodź do mnie! Będziemy obydwaj pracować! Ja będę kuł a ty będziesz urobek odwoził. zgoda?

Nie dowierzał, czy śni czy jest na jawie. We dwójkę mają tworzyć brygadę? Ale tamten wziął go pod ramię i razem ruszyli do przodka.

Już tego samego dnia po ukończeniu „dzionki” — zwrócili na siebie uwagę wszystkich brygad i kierownictwa, gdy ustalono, że ci dwaj dorównywali w pracy prawie jednej brygadzie.

Tego „eleganta” z kopalni nazywano Wesołkiem, bo był zawsze wesoły, zaś niedorajdę — Niedorajdą.

Wesołek zawarł umowę z niedorajdą, że bierze go do wspólnej, pracy na trzy lata. Wszelki zarobek, po odliczeniu gotówki na wyżywienie — składać będą do banku na swoje książeczki oszczędnościowe. Wspólnie będą spożywać pokarmy i będą uczęszczać na nabożeństwa.

Niezmiernie ucieszony chłopina czuł się na nowym miejscu jak u Pana Boga za piecem. Ileż okazywał wdzięczności niepodobną opisać. W ciągu długich miesięcy dyrekcja kopalni oceniła wydajność pracy obydwu i wszelkie nagrody, jakie przysługiwały górniczej braci — przyznawano w lwiej części Wesołkowi i Niedorajdzie.

— Chłopy, widzieliście, co się robi? — zagadnął nagle Iwiński swoją brygadę. — A nasza brygada, co? Czy to czary, czy złe?

— Mruknęli, chrząknęli, ale nikt nie miał odwagi coś powiedzieć. Iwińskiemu to nie dawało spokoju.

— Idę zobaczyć, jak właściwie u nich tam robota idzie. Kto ze mną?

Kilku robotników poszło z Iwińskim. Naraz ujrzeni, że pomiędzy Wesołkiem i stojącym za nim Niedorajdą zawalił się strop. Skoczyli na pomoc, ale Niedorajda odrzekł spokojnie:

— Nic się nie stanie! To nie pierwszy raz. On tu zaraz będzie.

— Jak to? — krzyknął Iwiński — Człowiek odcięty od ludzi. Trzeba go ratować!

Okazało się jednak, że pomoc ich była zbyteczna, bo za chwilę Wesołek przedierał się już do nich uśmiechnięty, zdrow i cały.

— A nie mówiłem, że zaraz tu będzie? — zatriumfował Niedorajda.

Iwiński rozdziawił ze zdziwienia gębę i nie mógł wykrztusić słowa. Od tego czasu wszyscy polubili Wesołka i nie mogli się bez niego obyć. Zapraszali go do siebie. Grali z nim w karty. On nie umiał się wymówić.

Nadszedł dzień, w którym czas wypełnił się zgodnie z umową. Wesołek uroczyście rzekł do Niedorajdy:

— Dzisiaj mijają trzy lata naszej górniczej pracy. Mamy duże sumy pieniędzy na naszych kontach. Bierzemy więc książeczki oszczędnościowe. Idziemy do banku i przyniesiemy pieniądze do domu!

Chłopinie zaschło z wrażenia w gardle, a serce waliło jak młotem. Co teraz będzie?

Wyciągnął książeczkę z ubrania i udali się do banku. Urzędnik spojrzął na nich spod okularów i po chwili kasjer wypłacił im całą należność.

Wrócili do domu.

Wyciągnęli stół na środek izby, wyłożyli dolary i zmieszali wszystko w jeden stos. Usiedli naprzeciw siebie i...

Niedorajda zdobył się na głos i zapytał trwożliwie.

— Powiedz mi wreszcie, co ty robisz? Przecież zarobiłeś dużo więcej pieniędzy ode mnie i to wszystko zważyłeś na jedną kupę. — To nic! — odpowiedział Wesołek. — Dziel to teraz równo na dwie części!

Gdy rozdzielono na połowę trzydniowy owoc ciężkiej pracy — na stole srebrzył się jeszcze jeden cent.

— Weź go sobie! — rzekł Wesołek.

— Weź go lepiej ty! Przecież przy twoim boku żyłem, pracowałem i tyle mam ci do zawdzięczenia. Jeszcze nie dowierzam, czy ten dzień dzisiejszy nie jest snem.

— Proszę cię, weź centa — zachęcał.

— Nie wypada i nie mogę! — bronił się Niedorajda. — Ja i tak już ci się nigdy nie będę mógł wywdziżyć. Aby ten cent nie był przyczyną niezgody między nami — wrzucmy go do skarboxki w kościele!

Wesołek wziął płaszcz i kapelusze do ręki. Podszedł do Niedorajdy, przycisnął do piersi, zrobił znak krzyża nad nim i rzekł:

— Słuchaj, mój przyjacielu. Ja tych pieniędzy nie potrzebuję. Ty masz żonę i dzieci. Zabieraj to wszystko i jedź natychmiast do domu, gdzie na ciebie z utęsknieniem czekają.

Ucałował go jak brata i wyszedł.

Osiupiały Niedorajda wybiegł za nim i jął wołać:

— Słuchaj, wróć! Gdzie jesteś! Wróć, proszę cię!

Ale tamten rozplynął się jak mgła. Nadaremnie szukał go Niedorajda. Wrócił do izby smutny, ale i z nadzieją, że może Wesołek wróci.

Na stole jak w skarbcu leżały dolary w dwóch stosach, a w środku między nimi małeńki cent. Kilka dni czekał Niedorajda na swego towarzysza, wreszcie zapakował wszystko do kufrów i wyruszył w drogę.

Był rok 1913.

Wrócił Niedorajda szczęśliwie do swoich. Sprzedał chałupinę i liche dwie morgi, a kupił sobie okazałe gospodarstwo i dobrze mu się powodziło.

Co się stało z innymi? Wiem tylko, że Iwiński ożenił się w Ameryce i wrócił do Polski, ale dopiero w 1922 r. Kupił gospodarstwo w powiecie Lida (w górnictwie pracował 12 lat).

Możecie dowiedzieć się czegoś więcej, gdzie mieszkali, gdzie żyli i jakie były ich prawdziwe nazwiska, ale myślę, że to już nie jest takie ważne. Ważne jest to, co się wydarzyło.

ZYGMUNT KORNOŃSKI

BEZPIECZNY PAPIEROS

Uczeni stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że palenie papierosów w jakiś sposób sprzyja powstawaniu i rozwojowi raka, ciągle jednak jeszcze brak stwierdzenia, które czynniki są bezpośrednim powodem tego zjawiska. Dr K. M. Endicott, dyrektor Instytutu Rakowego w USA oświadczył w związku z tym zagadnieniem:

„Uczeni nie wiedzą dokładnie dlaczego i w jaki sposób palenie powoduje powstawanie raka płuc. Najprawdopodobniej nie wszystkie czynniki rakotwórcze znajdujące się w tytoniu i w dymie papierosowym zostały już zidentyfikowane”.

Dr Endicott mówił, że próby w kierunku wyprodukowania „bezpiecznego papierosa” zmierzają do zwiększenia skuteczności filtracji, (aby usunąć czynniki rakotwórcze, drażniące i współrakotwórcze), wytworzenia takiej odmiany tytoniu, w której dymie znajdowałoby się możliwie najmniej czynników rakotwórczych i wreszcie stosowanie dodatków powodujących zmniejszenie czynników rakotwórczych w dymie.

Kombinacja tych metod i sposobów powinna doprowadzić do wytworzenia „bezpiecznego papierosa”, kiedy jednak to nastąpi jeszcze nie wiadomo. (K.)

JUBILEUSZOWE BRAKORÓBSTWO

Otrzymał historyczne imię „Mesko”. Jest ręcznym klawiszowym arytmometrem. Spłodziły go Zakłady Metalowe „Skarżysko”. Życie Gospodarcze stwierdza, że „w klasie maszyn liczących zajmuje on wybitnie eksponowane miejsce... Jest najcięższy, najdroższy i najgorszy.

Dwukrotnie cięższy od tego samego typu maszyn importowanych. Kosztuje 9.000 zł, maszyny importowane zaś — 6.500 zł. „Wysiąda już po paru tygodniach pracy”.

Na tym nie koniec. Postępujemy dalszych rewelacyjnych informacji (źródło ich — Życie Gospodarcze). „Produkcja tego złomu kosztuje kraj przeszło 100 milionów zł... Już w czasie odbioru jakościowego maszyn „Mesko” odrzuca się 36,6 proc. produkcji... Tylko MHW wydało około 13 mln zł na bezwartościowe maszyny...”

Pierwszy historyczny Piast przewraca się w grobie.

BOŻE NARODZENIE

O, jest w Twym przyjściu nieśmiertelność wielkiej Miłości i Nadziei, gdy znowu Gwiazda Betlejemaska nad nami w niebie promienieje.

Zbawiciel świata narodził się, jak najbiedniejszy wśród ubogich — bez berła, tronu i korony zawitał znowu w nasze progi.

Więc wszędzie radość i skupienie, dla wszystkich drzwi otwarte stoją, bo dzisiaj Boże Narodzenie, święto miłości i pokoju.

Rodzina ludzka zjednoczona świętem miłości i pokoju, wezbrane serca wiarą płoną, bo Bóg — ich twierdzą i ostoją.

Migocą gwiazdy, śnieg na dworze, zielone drzewka w lamp paradzie; ach, tylko Boże Narodzenie może dać czystą radość:

że oto, jak w dzieciństwa latach, coś taje gdzieś pod powiekami, i nieskalany obraz świata znów Izą wzruszenia serce rani.

Znowu jesteśmy tacy czysti, jak kiedyś, w blasku swej młodości. Ten cud sprawiło Dziecko przyjście z gwiazdą Nadziei i Miłości.

WITOLD NANOWSKI

ICH ŚWIĘTO

Święto Dziecięcia — Boga — to święto dziecka ludzkiego. Ono właśnie bliskie jest Jego sercu. „Pozwólcie dzieckom przyjść do mnie”...

Stajenka betlejemaska... U stóp żłobka klęczy dziecko — pastuszek. Jedną ręką tuli do serca ciepły pyszczyk owieczki, drugą — wyciąga do Bóstwa, od którego tyle darów oczekuje.

Boże Narodzenie — to święto dzieci. Wśród podarków, którymi każdy w miarę możności obdarzy swoje pociechy, znajdzie się wiele zabawek, które dziecko obejrzy i ciśnie w kąt. Będą wśród nich i takie, które zainteresują je przez czas dłuższy, pobudzając do myślenia, do wysiłku, do samodzielnej pracy. Będą wreszcie i książki obrazkowe, te najtrwalsze z zabawek, bo oglądane i przeglądane bez końca.

Ale spróbujmy dać dziecku coś, co żyje. Wtedy ujrzymy na ustach najpromienniejszy z uśmiechów, a drobne rączki wyciągną się z zachwytem do żyjącego cudu! Niech to będzie piesek-sierota, kotek-przybięda, kanarek, czy biała myszka. Przekonamy się, że dziecko woli żywą mysz od pluszowego niedźwiadka, a kanarka w klatce od najpiękniej wykonanego słońca.

Zwróćmy nieco większą uwagę na fakt, że dziecko instynktownie garnie się do zwierząt. Ulubioną jego książką jest książka z wizerunkami zwierząt, tych kochanych „muw”, „bee” i „hau, hau”. Ulubioną zabawką z braku żywych są drewniane, blaszane i pluszowe zwierzęta. Ulubioną bajką — bajka o zwierzątkach. Owieczka, kaczuśka, kurka, piesek, kotek i gołąbek — to istoty o wiele mu bliższe, o wiele dla niego zrozumialsze, niż wróżki, karzelki, żołnierzyki i czarownice.

Pies jest niezmiernie towarzyszącym i pożądanym zawsze świadkiem zabaw, kot — przyjacielem w cichych chwilach ukojeń przedsennej godziny, ciepłym powiernikiem szeptanych do wlochatego uszka skarg na drobne

utrapienia, które łagodzi kołysanką do brotliwego pomruku. Niejedna łza dziecięcia obeschła na splakanej buzi, otarta miękką pieczęcią kociego futerka.

Świat zwierząt — to królestwo dziecka, bo w tym świecie ono jest królem.

Obcowanie ze zwierzęciem daje dziecku nie tylko radość, ale przynosi także wielką korzyść moralną. Przede wszystkim budzi w dziecku poczucie własnej ludzkiej godności. Zwierzę jest tak do



Już gwiazdka świeci, czas do domu...

niego w fizjologicznych przejawach życia zbliżone, a jednocześnie tak nieskończenie w swej ograniczoności od niego niższe, tak od niego, maleńkiego człowieka, już zależne i opieki jego potrzebujące... Posiadanie zwierzęcia na własność wyrabia wcześniej w duszy dziecięcej świadomość odpowiedzialności za dobrą lub złą dolę tej naszej „młodszej braci”.

Uczmy dzieci kochać zwierzęta, ale nie samolubnie dla własnej uciechy, bezrozumnie.

Stajenka betlejemaska to: Bóg, dziecko i zwierzę. Ks. ALOJZY KAŹMIERSKI

WĘDRÓWKI POLSKIEJ KOŁĘDY

Począwszy od XVI w. wiele kołęd polskich tłumaczono na inne języki, dzięki czemu przenikały one poza granice kraju, głównie do Czech, na Litwę, Łotwę, Estonię i Białoruś. I tak np. w wydany w 1890 r. w Krakowie u Anczyca śpiewniku kościelnym znajdujemy aż 15 kołęd polskich (z XVI w.), które były śpiewane na Litwie i Łotwie. Jest między nimi nasza „kołęda kołęd” pt. „Anioł pasterzom mówił” w takim brzmieniu:

„Engels gonim sacja

Diwa Dalu stostija,

Es jums lelu pricu słodynoju,

Pasaulis Pestitoju

Wers zemes dzymuszu...”.

W tymże śpiewniku znajdują się tłumaczone na język łotewski kołędy: „Bóg się z Panny narodził”, „Przybieżeli do Betlejem”, „W żłobie leży” i wiele innych. U ludów, które ongiś wchodziły w skład Rzeczypospolitej śpiewano również wiele kołęd. Dużą popularnością cieszyła się kołęda „Anioł pasterzom mówił”, również wśród Białorusinów, którzy chętnie śpiewali:

„Anioł skazau pastuszkam:

Naradziu sia Chrystos nam,

U Betlei, u miasteczku Dawidowym,

U pakalenni Judowym,

Z Paniunki Maryi...”

A oto przekład ruski tej samej kołędy:

„Anheł pastyriam mowiji

Chrystos sia nam narodyu,

W Bitlemi, u miastoczku ubohim,

I w rodi Dawydowym,

Z preczystoj Marii...”.

Ciekawe, że w obu tych przekładach druga część strofy ma brzmienie nieco odmienne od typowej klasycznej i najstarszej formy polskiej, a to dlatego, że Polacy na Litwie śpiewali ją w takiej właśnie postaci, przejawiały się także w przejmowaniu polskich melodii do własnych kołęd ruskich. Dalszym objawem wpływu było to, że powstałe wśród Rusinów kołędy wzorują się w formie metrycznej na polskich, różnej od form wschodnich, różnią się też i w stylistyce, w obrazowaniu i w sposobie wyrażania uczucia wobec Dzieciątka Bożego.

Śpiewanie kołęd w języku polskim było

wśród ruskiego ludu powszechne. Należy to tłumaczyć tym, że wydawnictwa kołędne terenów wschodnich zawsze zawierały teksty w dwóch językach, czego najlepsze świadectwo daje niestrudzony badacz folkloru Oskar Kolberg.

Ale żywotność i ekspansja polskiej kołędy sięgała często bardzo daleko poza granice kraju i promieniowała aż do krajów egzotycznych. Interesująco wygląda np fakt, że w Afryce Środkowej, w Rodezji, Murzyni plemienia Bantu, nawróceni na chrześcijaństwo, śpiewali i do dziś jeszcze śpiewają w swym języku kołędy przełożone z kołęd polskich według polskich melodii. Sprawili to polski misjonarz zmarły przed 40 laty ksiądz Hankiewicz. Przełożył on na jedno z narzeczy języka Bantu wiele kołęd, pieśni religijnych, pastorałek itp. Pieśni tych i kołęd nauczył ks. Hankiewicz Murzynów, którzy je bardzo chętnie przyjęli. W ten sposób połączone uczucia religijne i narodowe polskiego misjonarza sprawiły, że polska kołęda zawędrowała aż do Afryki Południowej i dziś rozbrzmiewa tam w okresach Bożego Narodzenia.

ANTONI KACZMAREK

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

„Przygodny Czytelnik z Zakopanego” — nie mający odwagi podać swego adresu — prosi o „parę słów wyjaśnienia” koniecznie na 2 lub 9 października, podczas gdy list ma datę 14 września.

W rzecz, wistoci wyjaśnienia potrzebują tylko podane daty, ponieważ obszerny list „na czterech stronach — drobnym pismem” nie zawiera chyba takich problemów, które należałoby publicznie omawiać. Otóż wyjaśniamy, że sam cykl produkcyjny Tygodnika — już po oddaniu zebranych materiałów do drukarni — trwa zasadniczo cztery tygodnie. Zbieranie materiałów i inne czynności wstępne zabierają też około tygodnia. Z tego wniosek, że nadesłana korespondencja może znaleźć echo w naszym Tygodniku najwcześniej po pięciu tygodniach. Jeżeli zaś pism nadejdzie dużo (niekiedy bardzo treściwych), część korespondencji musi poczekać dodatkowo jeden lub i więcej tygodni. Stąd też miłych naszych Korespondentów stale prosimy o cierpliwość i wyrozumiałość.

Sądzimy, że i Czytelnik z Zakopanego — po tym wyjaśnieniu — nie będzie miał do nas żalu, że zajęliśmy się Nim dopiero teraz. Musimy wyznać, że list Jego nie sprawił nam przyjemności dlatego, że jest chaotyczny, niejasny, a miejscami złośliwy. Jedną ze złośliwości została wyrażona w taki oto sposób: „Dlaczego i wy poddajecie się kierownictwu innych, jak to ostatnio było można poznać ze sprawozdania biskupa aż z Ameryki. Ale po co? Choćby to był i Polak, to czy w Polsce nie macie swoich biskupów?” Już niejednokrotnie wyjaśnialiśmy na tym miejscu, że nasza współpraca z Kościołem Polskokatolickim w Ameryce (z PNKK) ma charakter wyłącznie braterski — równego z równym. Jedna strona drugiej nie zamierza „matkować” czy „ojcować”. Jeżeli ktoś zaprosi do swego domu starszego brata, sąsiedzi nie powiedzą, że poddał się jego „kierownictwu”. Co najwyżej mógł usłuchać jego dobrych rad, ale z tego powodu należy się pochwała, nie zaś nagana.

Podobne złośliwe w intencji uwagi pracy nam nie ułatwiają, dlatego prosimy uprzejmie naszych potencjalnych korespondentów, aby raczej ich nam zaoszczędzili i aby pisali krótko, jasno, bez zbytniej wylewności. Można stawiać pytania rozmaite, ale wolimy, aby się korespondencja ograniczała do spraw religijno — kościelnych, bez poruszania drażliwych problemów ściśle prywatnych, które ogółu Czytelników nie obchodzą. Wyjaśniamy, że wszystkich Czytelników mogą interesować sprawy moralne nazwane w jednym ze świeckich czasopism „kulisami serc” — lecz należy je przedstawić w formie właściwej, aby nasi Czytelnicy przeżywający podobne dramaty również mogli skorzystać z naszej rubryki. Pozdrawiamy.

Pan Stefan Sońnicki z Łodzi też jest złośliwy, ale bezpośrednio w stosunku do Pisma św., względnie — do Jezusa Chrystusa. Pisze: „W Tygodniku „Rodzina” na dzień 4.IX. br. przeczytałem Ewangelię według Mateusza (6, 24 — 33)... I wyobrażam sobie, jak wasz biedny komentator tej ewangelii musiał sobie nałamać głowy, aby te Chrystusowe nonsensy przerobić na świętą prawdę”.

Przypominamy, że naszego Czytelnika rozszedziła nauka Jezusa Chrystusa zaczynająca się słowami: „Nie możecie Bogu służyć i mamonie. A przeto powiadam wam: Nie troszczcie się o życie wasze, co będzie jedli ani o ciało wasze, w co będziecie je przyoblec mieli... Bo o to wszystko poganie się pilnie starają. Albowiem wie Ojciec wasz niebieski, że tego wszystkiego potrzebujecie. Szukajcież tedy naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydane”.

Zgadzamy się, że nauka to trudna ale nazywanie jej „nonsensami” to coś gorszego niż złośliwość, to grubiaństwo. Istnieją niestety na świecie ludzie, którzy dla ułatwienia sobie życia głupim przezywają wszystko, czego nie rozumieją lub nie chcą zrozumieć. Zamiatają sobie „łamać głowę” wołając z góry: Nonsens i basta! Zapadł wyrok nieomylny i nieodwołalny.

Wracając do cytowanego urywka Ewangelii, zwracamy uwagę na zdanie ostatnie. Mówi ono o zasadzie pierwszeństwa, nie wyklucza, lecz rozróżnia. Nazwane przez Chrystusa „królestwo Boże i sprawiedliwość jego” to po prostu dziedziństwo ducha ludzkiego. Chrystus powiada (innymi słowy) tak — najpierw duch, a potem sprawy materialne. Ten porządek odwracają ludzie nazwani „poganami”. Nie mogą, nie powinni naśladować ich uczniowie Chrystusa zwani chrześcijanami. Czy Chrystus im zakazał troszczyć się o jedzenie i ubranie? Bynajmniej. Wskazywał na „ptaki niebieskie” i na „lilie polne” wcale nie po to, ażeby chrześcijanie wygodnie sobie usiedli czy wręcz położyli się i czekali, aż „gołąbki same wpadną do gąbki”. Gdy Apostoł kilkanaście lat później pisał: „Kto nie chce pracować, niech też i nie je” (2 Tes. 3, 10) — wcale zasady Chrystusowej nie obalił. Ewangelię — jak każdą książkę — należy brać w całości. W 25 rozdziale Ewangelii Mateusza mamy przedstawioną Sąd Ostateczny. Tam „Syn Człowieczy” i Sędzia w jednej osobie nie powie do potępionych: „Idźcie precz ode mnie — boście zrobili to czy tamto” — Odwrotnie, skaże ich „na mękę wieczną” za to, że nie zrobili tego i owego („nie daliście mi jeść... nie daliście mi pić... nie przyjęliście mnie... nie przyodzialiście mnie... nie odwiedziliście mnie...”).

Nie wiemy, czy Korespondent z (miasta) Łodzi jest chrześcijaninem, czy raczej „poganinem”, ale sądzimy, że jeśli jest chrześcijaninem, to powinien przeczytać sobie całą Ewangelię, a przekona się, że nie ma w niej żadnych nonsensów. Jeżeli jest natomiast „poganinem”, niech łaskawie szanuje przekonania innych i z szacunkiem wyraża się o sprawach, które są dla nas całkiem sensowne. Pozdrawiamy.

Pani A.H. z Gdańska. Wiersz pt „1000-lecie Kościoła i Polskiego panowania” zawiera wprawdzie wiele cennych myśli, lecz nie został zakwalifikowany do druku ze względu na słabą formę literacką. Przepraszamy i pozdrawiamy.

WIELKA NIESPODZIANKA

GDZIE? DLA KOGO?

W NUMERZE NOWOROCZNYM
„RODZINY”, DLA NAJMŁODSZYCH

Pan G.W. z Jezioran pyta, czy mu będzie „wolno” przysłać do naszej Redakcji „coś, co mogłoby zostać opublikowane w celu pomagania” nam w naszej „ciężkiej pracy”.

Oczywiście, że wolno. Prosimy nadesłać kilka artykułów na próbę. O ile nadadzą się do publikacji, wydrukujemy. Dziękujemy za wyrazy sympatii i pozdrowienia. Pozdrawiamy serdecznie wzajemnie.

MASZ OKAZJĘ SPEŁNIĆ DOBRY UCZYNEK!

Jedna z naszych Czytelniczek prosi o używane radio: „Mam lat 57 — piszę — jestem samotna, już siódmy rok choruję... pobieram zapomogę z Opieki Społecznej... gdybym mogła choć radia posłuchać...”

Kto pierwszy? Chora osoba mieszka w Poznaniu. Redakcja chętnie wskaże adres.

Pan E. S. z Wałbrzycha negatywnie ustosunkował się do naszego artykułu pt „Pamięć Abrahama”. Uważa, że celem publikacji był atak na Kościół Rzymskokatolicki z powodu prześladowania Żydów w okresie średniowiecza. Swoje stanowisko w tej sprawie wyraża zdaniem: „Cofnijmy się nieco wstecz, a wtedy zrozumiemy, kto kogo prześladował”. Na potwierdzenie tego, że „nasienie Abrahamowe” prześladowało Kościół Rzymskokatolicki, przytacza cytaty z Ewangelii mówiące o walce faryzeuszów z Chrystusem.

Dziwne to stanowisko, a jeszcze dziwniejsza argumentacja u człowieka, który zna Chrystusową Ewangelię miłości do wszystkich ludzi. Cóż winien jest naród żydowski temu, że jego przywódcy nie chcieli przyjąć nauki Chrystusa, że Chrystusa zamęczyli i prześladowali Jego uczniów? Karać należy samych zbrodniarzy i to tych, którzy swoich zbrodni nie potępiają. Nie wolno szukać zemsty na ludziach niewinnych i to aż do końca świata.

Trudno doprawdy pojąć moralność niektórych chrześcijan. Z jednej strony wołają, że należy przebaczyć zbrodniarzom hitlerowskim, żyjącym jeszcze i wcale nie wykazującym skruchy, a z drugiej strony domagają się pomsty na narodzie żydowskim za „bógobójstwo” popełnione nie przez naród, ale przez jednostki i nie za dni naszych, ale przed dwudziestu wiekami.

Pani Ludwika z Wadowic pyta, co oznaczają obrazy przedstawione na pierwszej okładce w numerze 19 i 25 „Rodziny”. Wyjaśniamy, że obydwa obrazy są symboliczne. Ten z nr 19 (8.V.1966) przedstawia dwie religijne ofiary: pogańską i chrześcijańską. Obraz z nr 25 (19.VI.1966) przedstawia dobrowolne podjęcie się przez chrześcijańską niewiastę cierpień wyobrażonych w koronie z cierni. Serdecznie pozdrawiamy.

Pan Stefan Homik z Zawiercia (ul Waryńskiego 22) prosi za naszym pośrednictwem o przyjęcie mu z pomocą. Jest inwalidą (75%) całkowicie samotnym, chociaż dopiero w wieku 45 lat. Jest wyznawcą Kościoła Polskokatolickiego, lecz w Zawierciu na razie nie ma polskokatolickiej parafii. Oczekuje, że ktoś z naszych Czytelników „poda mu przyjacielską dłoń”. Chciałby zamieszkać u dobrych ludzi raczej „na wiosce”. Spełniając niniejszym życzenie opuszczonego brata w Chrystusie Panu, prosimy o skierowanie odpowiednich ofert bezpośrednio pod adres podany wyżej i w imieniu pana Homika dziękujemy.

Pan Edward Gryma z Sosnowca pyta, co oznaczają na ornamentach księży katolickich, litery IHS. Odpowiadamy, że są to pierwsze litery imienia Jezus zapisanego alfabetem greckim. Druga litera wyglądająca jak nasze (łacińskie) H — to grecka litera — e — Posługując się tylko alfabetem naszym (łacińskim), napisalibyśmy ów monogram tak: JES. Są jednak teoretycy, mówiący, że IHS oznacza skrót wyrażenia łacińskiego: In hoc signo vinces (w tym znaku zwyciężysz) albo wyrażenia też łacińskiego: Jesus Hominum Salvator (Jezus ludzi Zbawiciel). Właściwsze jest jednak wyjaśnienie pierwsze. Dziękując za pozdrowienia i życzenia, pozdrawiamy wzajemnie.



SYN POLAKA I AFRYKANKI

21 listopada o świcie rozgłośnia radiowa w Lome, stolicy Togo nadała odezwe b. dyrektora informacji, Kutuklui, że w kraju rozpoczęła się rewolucja. Zamachowcy żądali dymisji prezydenta Nicolasa Grunitzky'ego, rozwiązania parlamentu i rozpisania nowych wyborów.

Po południu tego samego dnia, sytuacja została opanowana przez prezydenta i wierną mu armię, a los przywódcy zamachu pozostał na najbliższe dni zmieniony. Nie wszyscy zapewne wiedzą że obecny prezydent Togo Nicolas Grunitzky jest synem Polaka i Afrykanki. Urodził się w r. 1913 w miejscowości Atahpame. Studiował na wydziale komunikacji w Szkole Inżynierskiej w Paryżu. Po powrocie do Afryki pracował w departamencie robót publicznych w Dakomojci, a w latach 1937-40 w Togo. W latach wojny był przywódcą togijskiego ruchu wyzwolenieckiego „Walka” współpracującego z gaulistowską „Wolną Francją”. Od roku 1945 do 1949 był pracownikiem kolei państwowych i założycielem Postępowej Partii Togo. W r. 1946 zostaje sekretarzem generalnym tej partii. W latach 1951-1956 zasiadał w francuskim Zgromadzeniu Narodowym jako deputowany togijski. W r. 1956 powołany został na stanowisko premiera autonomicznej Republiki Togo wchodzącej w skład Unii Francuskiej. Od r. 1959 jest przywódcą Związku Demokratycznego Ludności Togo (Union Democratique de la Population Togolaise — UDPT), prezydentem i szefem rządu Republiki Togo. Pełni również funkcję ministra spraw wewnętrznych i obrony narodowej (od r. 1963) i p.o. ministra informacji. (Zaczerpnięto: z Noty Biograficznej — PAP)

RZĄD POŁUDNIOWEJ Afryki odmówił wizy wjazdowej pastrowi Albertowi H. van den Heuwel, z Dep. Młodzieżowego Światowej Rady Kościołów,

który miał przybyć na zaproszenie Kościoła Metodystów celem wygłoszenia serii odczytów i konferencji.

W GOETTINGEN (NRF) zmarł prof. Weber wybitny znawca życia Kalwina i interpretator teologii K. Barta.

AFYKAŃSKI Ośrodek Literatury w Kitwe (Zambia) rozpoczęła szkolenie dziennikarzy i pisarzy z krajów afrykańskich posługujących się językiem francuskim. Na czele sekcji francuskiej stoi szwajcarski dziennikarz O. Dubois. Dotychczas istniała przy ośrodku jedynie sakkcja angielska.

W KOLEGIUM Teologicznym w Tananarive (Madagaskar) zapoczątkowano wspólne wykłady dla kandydatów na pastorów Kościoła Kongregacyjnego, Ewangelicznego i Kościoła Przyjaciół. Kolegium stanowi dalszy krok na drodze ku jedności wymienionych kościołów.

CESARZ HAILE SELASSIE ofiarował 40.000 dol. na ręce patriarchy Cyryla VI z Aleksandrii. Pieniądże te są przeznaczone na odbudowę klasztoru koptyjskiego w pustynnych okolicach Aleksandrii, gdzie dłuższy czas przebywał patriarcha Cyryl i na budowę katedry koptyjskiej w Kairze, pod którą kamień węgielny położył prezydent Nasser w ub. roku.

MINISTER OŚWIATY Malajzji Enche Khir Johari wręczył czek na 50.000 dol. (mal.) z przeznaczeniem na budowę szkoły dla dziewcząt wznoszonej przez metodystów. Minister zaznaczył, że ten dar rządu muzułmańskiego jest wyrazem uznania dla zasług Kościoła Metodystów dla rozwoju szkolnictwa w Malajzji.

PODZAS sympozjum przedstawicieli protestantów i katoli-

ków pracujących w szkolnictwie w krajach dawnej Afryki francuskiej omawiano problem przystosowania uczniów do życia we współczesnej Afryce. Uczestnicy podkreślili konieczność szerokiego wykorzystania radia, i afrykańskich tradycji kulturalnych.

GRUPA ANGLIKAŃSKICH, protestanckich i katolickich księży w Australii proponuje wydanie magazynu pt „Razem”, który będzie służył zbliżeniu między chrześcijanami oraz utrwaleniu poglądów na podstawowe problemy współczesnego życia.

PATRIARCHA ATHENAGORAS z Konstantynopola zgodził się na zbudowanie na świętej górze mnichów greckich-Atos klasztoru koptyjskiego. Zagadnieniem budowy zajmuje się ces. Haile Selassie na prośbę etiopskich teologów, którzy w czasie studiów w Konstantynopolu spędzali wakacje na górze Atos.

PARLAMENT REPUBLIKI mnichów z góry Atos (Koinotes) zwrócił się do patriarchy w Konstantynopolu z prośbą o interwencję u rządu greckiego przeciwko przymusowemu wywłaszczeniu dóbr klasztornych na górze Atos.

PODZAS SZEREGU konferencji teologów katolickich i starokatolickich, odbywających się w obecności kardynała B. Alfrinka, rzymskokatolickiego arcybiskupa Utrechtu, oraz dr A. Rinkela arcybiskupa i honorowego prymasa starokatolickiego omówiono szereg problemów interesujących oba Kościoły oraz opracowano publikację pt Rzym i Utrecht, która omawia i ocenia przyczyny rozłamu między wspomnianymi Kościołami.

CZŁONKOWIE POSOBOROWEJ Rady Liturgicznej zostali przyjęci przez papieża Pawła VI, który przy tej okazji wygłosił przemówienie na temat działalności Rady. Przedtem przemawiał kard. Lercaro podkreślając, że prawie powszechne zastosowanie języków narodowych w liturgii, zwiększyło uczestnictwo wiernych we Mszy św. Kardynał mówił, że zostały już opracowane formy obrzędów chrztu dorosłych i grzebania zmarłych również w językach narodowych.

PRZEMAWIAJĄC do przedstawicieli doradczego komitetu ONZ do spraw wprowadzenia w życie codzienne osiągnięć naukowych i technicznych, papież powiedział:

„Zebrałiście się panowie w Rzymie, by przestudiować przede wszystkim dwa zagadnienia: w jaki sposób wzmóc zawartość proteiny w pożywieniu, by móc zwalczać niedożywienie oraz w jaki sposób osiągnąć największą wydajność naturalnych zasobów rolniczych i nierolniczych. Są to zagadnienia techniczne. Nie oczekujcie więc od nas rad... Jeżeli zechcecie się widzieć z nami i wysłuchać nas, to dlatego, iż świadomi jesteście, że istnieje poza nauką specjalnością... wspólna dziedzina, wspólny teren, na którym się spotykamy... Tym wspólnym terenem jest chęć przyścia z pomocą naszym braciom, tym milionom ludzi, którzy nie jedzą do syta...”

KATOLICY i protestanci zaczęli wydawać w Brazylii wspólne pismo pt. „Pokój i Ziemia” z podtytułem „Ekumenizm i humanizm, spotkania i dialog”. Pismo ma służyć zbliżeniu stanowisk obu Kościołów.

NA GŁÓWNYM placu w Loreto ma stanąć pomnik Jana XXIII dłuta włoskiego rzeźbiarza Aleksandra Monteleone.

Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej. Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 28-97-84; 29-26-43. Warunki prenumeraty: Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz Oddziały i Delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: kwartalnie — 26 zł, półrocznie — 52 zł, rocznie — 104 zł. Prenumeratę na zagranicę, która jest o 40% droższa — przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 20-46-88, konto PKO Nr 1-6-100024. Roczna prenumerata wynosi: dla Europy 7\$, 19,70 DM, 23,40 NF, 1.13,6 L; dla St. Zjednoczonych i Kanady 7\$; dla Australii 2,10,5 LA, 20,4 LE). Można również zamówić prenumeratę, dokonując wpłaty na konto Wydawnictwa Literatury Religijnej PKO Nr 1-14-147290. Nie zamówionych rękopisów, fotografii i ilustracji redakcja nie zwraca.